

W SERII „PRZYWÓDCY ŚWIATA”

Tym razem zaczęło od informacji bibliofilskiej. Ożółtym nakładem znanego brytyjskiego wydawnictwa „Pergamon Press”, w serii „Przywódcy świata”, ukazała się książka o generale Wojciechu Jaruzelskim. Starannie wydany tom zawiera wyjątkowo wiele zdjęć i teksty biograficzne, szkice biograficzne oraz teksty wywiadu udzielonego wydawcy i dziennikarzowi w jednej osobie — Robertowi Maxwellowi. Wzajemnie go wybró kilkadziesiąt zdjęć ilustrujących życie i działalność W. Jaruzelskiego.

Godzi się w tym miejscu przypomnieć, że seria „Przywódcy świata” cieszy się dużym powodzeniem na rynkach czytelników. Jest nieocenioną lekturą dla politologów, polityków, dziennikarzy, naukowców. Kupują ją wielkie biblioteki naukowe i instytucje polityczne świata. Stanowi bowiem źródło rzetelnej wiedzy o ludziach i problemach współczesności. Wśród wielu pozycji tego cyklu, znalazły się m.in. tomy poświęcone przywódcom radzieckim — Breżniewowi, premierowi USA — Reaganowi, premierowi Indii — Desaiowi, przywódcy chińskiemu — Honeckerowi. Wydawnictwo „Pergamon Press” jest potężną grupą wydawniczą, mającą swe oddziały w USA, Kanadzie, RFN i Australii. Posiada skomputeryzowany system informacji, stacje telewizyjne przewodowej, su-

BRUDNA PIANA

jest niemożliwe — Stany Zjednoczone stanęłyby w obliczu poważnych kłopotów. W praktyce oznaczałoby to „być, albo nie być” paktu ANZUS — jednego z wytworów okresu zimnej wojny.

Pod niebem Paryża kłębią się chmury. Miasto zalewa brudna piana rasizmu. Trwa istne polowanie na ludzi o odmiennym niż biały kolorze skóry. Lista zatuczonych, zastrzelonych, utopionych lub okaleczonych stale się wydłuża.

Jaka jest przyczyna tego groźnego zjawiska? O jednoznacznej odpowiedzi nie jest łatwo. Składa się na to niewątpliwie nie tylko rozgorzenie francuskiej prawicy po utracie zamorskich kolonii, a tym samym tęsknota za latami wrzucaniem się cudzym kosztem, ale również kurczenie się z roku na rok miejscowego rynku pracy. Po skończonej w 1962 r. wojnie algierskiej, Francja potrzebowała wielu robotników, obojętnie jakiej barwy skóry, oferując wszystkim pracę. Wiele przybywało tu masowo Algierczyków, Marokańczyków, Tunezyjczyków, Turcy by zarobić i podperować pozostawioną w domu rodzinę, względnie sprowadzić ją nad Sekwanę. Jest ich dziś tutaj około 5 milionów, w tym ponad 800 tys. Algierczyków, na 55 mln mieszkańców Francji. Stają się jednak niepotrzebni, w myśl okrutnej zasady: Murzyn zrobił swoje i może odejść. Oliwy do ognia nie nawisł, dolewa skrajna prawica zgrupowa-

Zrzeszenie Studentów Polskich — spadkobierca Socjalistycznego Związku Studentów Polskich — liczy w Białymstoku blisko 1000 członków; ściśle — zbliża się systematycznie do tej granicy. W porównaniu z liczbą zdobywających wiedzę na 5 białostockich uczelniach szczególnie dużo to nie jest, ale... W takich sytuacjach zwykle się mówi, że „idziemy na jakość, a nie na ilość”. Z drugiej strony nie da się Zrzeszeniu odebrać zasługi systematycznego wzrostu liczby członków, jakkolwiek by on był.

Jak zwykle najwięcej chętnych do zasilenia organizacji „objawia się” przed sezonem wakacyjnym. Powód podstawowy, to niezwykle atrakcyjna oferta spędzenia kanikułu. Tak jest zresztą o wielu lat. Nieodparcie nasuwa się przy tym wniosek, że właśnie do tzw. „Almy” czyli Akademickiej Akcji Letniej ZSP przystępuje się szczególnie solidnie, korzystając zresztą z możliwości własnego biura podróży. Cóż — nie da się ukryć, że „Almatu” — czy z Radą Okręgową, czy też bez — i tak swoje by zrobił. Głównie zresztą dlatego, że z czegoś musi żyć i na czymś zarabiać.

Tegoroczna oferta, po latach „suchych” warta jest odnotowania. Jak zapewniali turyści, którzy zjeżdżają, wyjątkowo wszyscy, którzy zgłoszą chęć skorzystania z usług Biura. Oczywiście nie zawsze tam, gdzie akurat pragną, ale propozycje zamienne są równie atrakcyjne.

Jednym słowem na szlak wyruszył w tym roku 2,5 tys. białostockich studentów. Część obozów już trwa. Reszta — w sierpniu i wrześniu. Jak zwykle zresztą największym powodzeniem cieszą się organizacje pod nazwą „SOS-RASIZM”. Jest to największy ruch młodzieżowy we Francji od czasu rebelii studentów w 1968 r. Skupia ona tysiące młodych ludzi, nie tylko imigrantów, których wyznacznikiem działania jest przyjaźń i braterstwo. Organizacja ta wydała specjalną plaketkę w formie prawej dłoni z napisem: „Touche pas a mon pote” (Nie ruszaj mojego kumpła). Ten swastykowy amulet w pięciu kolorach (po 5 franków sztuka) znalazł już blisko półtora miliona nabywców. Dowodzi to dużej popularności tego niekonwencjonalnego ruchu.

W niedługim czasie jego członkowie i sympatycy mają wyjść masowo na ulice Paryża i innych wielkich miast. Piosenka, muzyka i gestem uniesionej przyjaźni dłoń chcą zwrócić uwagę władz oraz opinii światowej na swój zły los. Chcą go odmie-

nić.

LEKARZE O REAGANIE

Choroba prezydenta Reagana jest wciąż żywo komentowana. Opinie co do ewentualnych jej skutków są różne. Trudno zresztą o inne, gdy w grę wchodzi jedna z najgroźniejszych chorób współczesności. A oto dwie charakterystyczne wypowiedzi specjalistów — onkologów. Dr Stephen Rosenberg, jeden z członków zespołu lekarzy biorących udział w operacji Reagana, stwierdził: „Istnieje ponad pięćdziesięcioprocentowa szansa, że prezydent nie ma już obecnie raka i jest całkowicie wyleczony”. Dodaje przy tym — uprzedzając niejako pytania dziennikarzy — że „pacjent nie powinien mieć trudności ze sprawowaniem swego urzędu”. Odmienne opinie wyraził brytyjski specjalista ze Szpitala Sw. Marka w Londynie Dr John Northover. Jego zdaniem „ten, kto twierdzi, że następnego dnia po takiej operacji potrafi podejmować ważne decyzje państwowe, oszukuje siebie i innych”.

Na razie prezydent USA nie oszczędza siły, pracując jak gdyby nie było stało. Jedyną, jak dotąd, reakcją na jego zdrowotne kłopoty jest spadek kursu dolara na wielu giełdach światowych.

MIECZYSLAW CHAJA

Zrzeszenie Studentów Polskich

Koncepcje - jak zwykle - są dobre

może 250 osób. Praca ta lekka na pewno nie będzie, ale — pominiawszy nawet przeliczniki — na pewno się opłaca. „Almatu” oferuje też wyścigi. Można wyjechać na wakacje, a akurat nie bardzo na studentkę kieszeń (ok. 30 tys. za 2 tyg. w Rumunii), ale nikt w końcu nie zmusza...

Nie zapominajmy też o wy-poczynku krajowym. Członkowie klubów turystycznych wyjadą także zwiedzać Algierię, Grecję, Turcję, Szwecję, Malte i Włochy. Za to do Krajów Demokracji Ludowej przygotowane ok. 170 trampin-gów.

Nie obyło się w tegorocznej akcji letniej bez kłopotów. Jak to zwykle bywa, winę ponosi centrala. Rzecz głównie w zbyt późnym przyznaniu dewiz. Ale i te przeszkody jakoś udało się ominąć i większość wyjazdów dojdzie do skutku.

Wróćmy jednak do problemów Zrzeszenia. Nowa Rada Okręgowa, która ukończyła się 24 kwietnia rozpoczęła swą działalność od reorganizacji i tworzenia nowych agend, mających w założeniu odzyskać utracone pole, wzmożnić prestiż i rzecz jasną szereg organizacji. Zamierzania są ambitne, tyle, że

jak pamiętam, tak było zawsze, że „zmianie warty”. Co poza tym charakterystyczne — pomysły powtarzały się niemal zawsze, były zupełnie realne, tylko z realizacją bywało ciężko.

W tym roku główne zainteresowania skoncentrowały się na studentach nowo przyjeźdź. Też nie nowego, ale skoro w roku ubiegłym ponad 30 proc. uczestników wrześniowego obozu „pierwszaków” wstąpiło w szeregi, to gra warta jest świeczki. We wrześniu więc 180 osób pojawiło się w Olecku by zgłębiać organizacyjne tajniki, dyskutować, proponować i wreszcie działać.

Jak co roku zresztą działacze zakładają, że praca ze studentami pierwszych lat nie zakończy się bynajmniej po 10 dniach szkoleniowo-wypoczynkowych i że trwać będzie w dalszym ciągu.

Nie koniec zresztą na tym. Spora część z „organizacyjnych nadziei” zaproszona też zostanie na Szkole Aktywnego ZSP w październiku. Impreza organizowana jest corocznie.

I kolejne ZSP-owskie nowum: dwóch dyrektorów. Jeden — Almatu już jest. Te raz kolej na Student-Service oraz Alma-Art. Nowe agendy, z którymi wiąże się niemałe nadzieje.

Na początek Student-Service. Biuro to ma pośredniczyć w podejmowaniu pracy przez studentów, czyli być po prostu konkurencją dla spółdzielni „Podlaskiej” — głównie zresztą poprzez ceny i niskie marże. Zleceniodawca zyska tańsze usługi, studenci — więcej pieniędzy. W sumie inicjatywa dobra i ciekawa. Jak świat światem konkurencja przynosiła korzyści. Gdyby się tylko udało... Na razie zakłada się, że firma dać ma 300 tys. zysku do końca br. Powodzenia!

Wątpię jednak należy, czy zadaniu podoła Alma-Art. Wygląda na to, że ma to być trzecia w Białymstoku agencja artystyczna. Ta akurat zarabiała na niewiele — tyle, aby wystarczyć na sprzet i propagowanie studentycznej kultury, bez odprowadzania szczególnych zysków na działalność tzw. pozaprogramową. Nie byłoby to złe, ale sądząc po pierwszej próbie — zakończonej zresztą fiaskiem — jąkać było sprowadzenie do Białegostoku Józefa Skrzeka — należałoby się troszczyć nad formami kolejnych działań zastanowić.

Do października pozostały dwa miesiące. Działacze zakładają przez ten czas trud koncepcyjny. Oby przyniosły efekty. Mili jest w końcu iś do własnego klubu z niepowtarzalną atmosferą, posuchać własnego zespołu, przeczytać własny biuletyn, a nie — tylko — jechać na własne wakacje.

TOMASZ KALINOWSKI

P.S. Od początku lipca działa baza „Almatu” w Wojciechu koło Augustowa. Dowiedzieliśmy się o tym od pewnego hiszpańskiego studenta. Chciał tam nawiązać zancować. Pozwolił sobie przemilczeć powód, dla którego wołał wynająć pokój w mieście — dalej od jeziora, ale od „Albatrosa” — także. T.K.

Czy wiecie, że...

W ponad 80 wielkich aglomeracjach miejskich świata istnieją linie metra. Po raz pierwszy zalety podziemnej kolei docenił w niedalekiej przyszłości mieszkaniec małej austriackiej wioski Serfaus, znajdującej się w odległości ok. 80 km od Innsbrucka.

Wioska Serfaus położona jest na wysokości 1400 m n.p.m. i liczy zaledwie 900 stałych mieszkańców. Jest to jednak miejscowość turystyczna, dysponująca w sezonie turystycznym liczbą 3,6 tys. miejsc noclegowych oraz ośrodkiem sportów zimowych, wyposażonym w kolejkę linową i szereg innych urządzeń rekreacyjnych. Jednak życie mieszkańców, jak też i przyjeżdżających tu na wypocznik turystów, zatrącają duże ilości spalin oraz hałas będący wynikiem ruchu tysięcy samochodów osobowych.

Postanowiono zatem zbudować w Serfaus „wiejskie metro”. Linia metra przebiegać będzie na bardzo niewielkiej głębokości, jej długość będzie liczyć ok. 1,3 km. (P.J.)

CAF — ROMAN SIENKO

Główne ogniwo

Mamy w Polsce roku 1985 sytuację złożoną i z faktów ekonomiczno-gospodarczych i z realiów politycznych, i z określonych odczuć społecznych — słusznych czy niesłusznych, subiektywnych czy obiektywnych, uzasadnionych czy nieuzasadnionych. Ale sytuacja jest konkretna — i w tych konkretnych miesiącach też mozolny, skomplikowany, trudny proces odzyskiwania przez partię swej siły i swego poparcia u milionów ludzi pracy.

I w takich to warunkach „głównym ogniwnem” dla marksistowskiej, robotniczej partii, jest odbudowa jej więzi z klasą robotniczą. Tu znajduje się klucz do umocnienia pozycji partii w całym społeczeństwie. Trzeba też z gorącą przypomnieć, że tu właśnie wśród robotników, partia poniosła przed kilku laty największe i najtrudniejsze zwycięstwo — odrobienie straty.

Dziś „partia ta sama, lecz nie taka sama” z wolna lecz konsekwentnie odzyskuje robotnicze zaufanie. Czy cała partia? Czy wszystkie jej ogniwa? Czy Wszędzie? Są to pytania retoryczne. Jakość partyjnych szeregów nie jest jednorodna, nie jest monolitem. Są organizacje silne, ambitne, preżne — bo są członkowie partii silni i ambitni. I są też organizacje słabe — bo słabi są i apatyczni działający w nich towarzysze. Wzrost społecznego zaufania do partii nie zależy wyłącznie od najsłuszniejszych nawet uchwał i działań „na górze”, lecz stanowi oczywistą pochodną tego, czy nasz partyjny kolega jest dobrym pracownikiem — czy złym, czy jest wartościowym i uczciwym człowiekiem — czy też nie, czy potrafi bronić programu partii i zjednywać dlań ludzi — czy woli raczej „dyplomatycznie milczeć”.

I tu dochodzimy do kwestii dla partii najważniejszej — przynajmniej w kategoriach codziennej praktyki. Wiadomo, że punkt ciężkości w pracy partyjnej znajduje się w organizacjach podstawowych. Dlaczego? Bo to jest styk ideologii i życia, polityki i jej społecznego odbioru. Tyle tylko, że i tu nie dzieje się automatycznie, mocą odgórnie zadekretowanej pozycji. Więcej: tu, w fabrykach, instytucjach i urzędach, obecność partii, jej pozycja, ranga i siła, uwidocznia się nie na salach konferencyjnych, nie przy biurkach — lecz wśród ludzi. Z polityką partii, z jej głosem docierać należy do fabrycznej hali, rozumianej i dostawionej, i symbolicznie. Styl pracy partii — jej podstawowych ogniw — zwrócony być musi do ludzi. I to nawet wówczas, gdy nie zawsze otacza nas przychylny i zrozumienie.

Szacunek sobie i partii zaskarbiali ci, którzy potwierdzali swą partyjną tożsamość zarówno na zebraniu i konferencji, jak i w pracy, w domu, w rozmowie z kolegami. I owa partyjna tożsamość, niezależnie od miejsca i okoliczności — to też jedno z najważniejszych „głównych ogniw” mądrego, a przede wszystkim skutecznego działania.

TOMASZ PERSIDOK

Samosady

W Sejmie minister Spraw Wewnętrznych general broni Czesław Kiszczyk powiedział, że w Polsce przypada znacznie mniej milicjantów na 100 tys. mieszkańców, niż policjantów np. we Francji, Belgii, RFN czy Wielkiej Brytanii. Następnie rzekł, że w Polsce jest 170 milicjantów na każde 100 tys. ludności. Poruszyło to Wolną Europę. Radiostacja ta twierdziła, że Polska jest krajem policyjnym; podczas gdy w tak zwanym wolnym świecie policja stanowi tak rzadkość jak orchidea, a delikatna jest nieczym motyle.

Wolna Europa odparowała więc powiadając, że w Polsce przypada 550 milicjantów na każde 100 tys. obywateli, co oni wiedzą z bardziej kompetentnych źródeł, niż polskie ministerstwo.

Wolna Europa 19 maja 1985 roku, że we Francji przypada 309 policjantów wraz z żandarmerią na 100 tys. ludności, i lipca ta sama radiostacja twierdziła, że we Francji przypada już tylko 220 policjantów i żandarmerii na te same 100 tys. Radiostacja nie trzusi się, żeby pamiętać o tym co sama mówiła, a we Francji nie ma ona widocznie tak kompetentnych źródeł informacji jak w Polsce, gdzie jej ludzie przypuszczalnie nie chodzą i o osobie policjanta nie liczą.

Dalej RWE 10 lipca mówiła tak: „Rzecznik prasowy rządu nie powiedział jednak w jaki sposób obliczenia te zostały dokonane. Czy w liczbie 170

biur monachijskiej rozgłośni, w miejscowości Pulach mieści się wywiadowczy ośrodek RFN. Niechaj redaktorzy sekcji polskiej przez polt policzą personel i bez zwłoki ogłoszą te dane. Sprawdzimy czy zgadzają się one z tymi, jakie polskie MSW być może posiada z naszych kompetentnych źródeł.

Na koniec RWE powiada, że wiadomości o działalności polskiej milicji oraz innej policji czerpie z raportów tzw. komitetów helsińskich. Przez to rozgłoszenia kompromituje nie tylko samą siebie, ale i to źródło. No bo ile jest wreszcie tych policjantów we Francji? 309 czy 220 na każde 100 tys. Francuzów?

W dwa dni później, 12 lipca, Wolna Europa drażyła dalej milicjny temat twierdząc, że głównym zajęciem tej właśnie polskiej milicji, która monachijskim redaktorem tróli się w oczach jest uprzedzenie świętokradztwa. Cytując RWE:

„4 kwietnia br. w Aleksandrowie Łódzkim miały miejsce dwa włamania do kościoła parafialnego i filialnego. Łącznie w ciągu ostatnich miesięcy dokonano prawie 20 włamania do kościołów w Łodzi i okolicach. Za znamienity należy uznać fakt, że zabór mienia połączony jest z bezczeszczeniem najświętszego sakramentu. Można stwierdzić, że bezczeszczenie najświętszego sakramentu jest celem mnożących się włamania, a kradzieży naczyn liturgicznych, często o niewielkiej wartości, stanowi zasłonę mającą na celu odwrócenie uwagi społeczeństwa od istoty napaści i wytworzenie w jego świadomości poczucia, że kościoły są przedmiotem ataków zwykłych złodziei. Do dnia dzisiejszego

zresztą łódzkie gazety Wolna Europa chyba je abonuje, choćby dlatego, że główną komentarzową rozgłosni o sprawach związanych z polskim MSW jest Alina Grabowska, renektka, która poprzednio pracowała właśnie w łódzkiej prasie „reżimowej”. Kłamstwo RWE jest więc świadome i bardzo partackie.

Sprawcami włamania i bezczeszczenia przedmiotów kultu są ludzie tyle tylko z milicją mający wspólne ile zwykłe zawodowi rabusie mają wspólne z MO: że mianowicie milicja tropi ich i sadza. Za przyswojeniem prokuratury podaje nazwiska wiarygodne do kościołów:

W pierwszym półroczu br. ponad 200-osobowa załoga Stacji PKP w Gieniuszach (woj. białostockie) przeładowała blisko 240 tys. ton radzieckich towarów, przede wszystkim — maszyn rolniczych, traktorów i części zamiennej oraz drewna przeznaczanego dla NRD. Rok nie jest dla kolejarzy z Gieniusz łatwy. Bardzo długa i ostra zima, mroka i chłodna wiosna oraz obfity w deszcze początek lata utrudniają pracę wykonywaną w całości pod gołym niebem.

W przyszłym roku tutejsi kolejarze obchodzą 25-lecie istnienia stacji. Wielu z nich pracuje w Gieniuszach od początku.

NA ZDJĘCIU: Jan Szymczuk — przy przeładunku radzieckich traktorów. Pracuje w Gieniuszach od początku. Rozładowywał pierwszy wagon radziecki, jaki przybył do tej stacji.

CAF — ROMAN SIENKO

W pierwszym półroczu br. ponad 200-osobowa załoga Stacji PKP w Gieniuszach (woj. białostockie) przeładowała blisko 240 tys. ton radzieckich towarów, przede wszystkim — maszyn rolniczych, traktorów i części zamiennej oraz drewna przeznaczanego dla NRD. Rok nie jest dla kolejarzy z Gieniusz łatwy. Bardzo długa i ostra zima, mroka i chłodna wiosna oraz obfity w deszcze początek lata utrudniają pracę wykonywaną w całości pod gołym niebem.

W przyszłym roku tutejsi kolejarze obchodzą 25-lecie istnienia stacji. Wielu z nich pracuje w Gieniuszach od początku.

NA ZDJĘCIU: Jan Szymczuk — przy przeładunku radzieckich traktorów. Pracuje w Gieniuszach od początku. Rozładowywał pierwszy wagon radziecki, jaki przybył do tej stacji.

CAF — ROMAN SIENKO

zresztą łódzkie gazety Wolna Europa chyba je abonuje, choćby dlatego, że główną komentarzową rozgłosni o sprawach związanych z polskim MSW jest Alina Grabowska, renektka, która poprzednio pracowała właśnie w łódzkiej prasie „reżimowej”. Kłamstwo RWE jest więc świadome i bardzo partackie.

Sprawcami włamania i bezczeszczenia przedmiotów kultu są ludzie tyle tylko z milicją mający wspólne ile zwykłe zawodowi rabusie mają wspólne z MO: że mianowicie milicja tropi ich i sadza. Za przyswojeniem prokuratury podaje nazwiska wiarygodne do kościołów:

Stanisław Kędron, syn Józefa i Genowefy urodzony 5.10.58 r. w Limanowej, zamieszkały w Łodzi ul. Alendy 39 m. 7, z zawodu tokarz, rozwiedziony, ojciec jednego dziecka (na które zresztą nie płaci alimentów) karany dwukrotnie w 1976 r. z art. 208 k.k. i w 1982 r. z art. 203 k.k., nigdzie nie pracujący.

Jego współpolicznikiem był Bogdan Chruszczyński syn Eugeniusza i Heleny urodzony 23 kwietnia 1954, zamieszkały w Łodzi ul. Nowotki 151 m. 47 wykształcenie średnie techniczne, nie pracujący, kawaler, kilkakrotnie uprzednio karany za przestępstwa z artykułu 208.

Ustalono też paserów, którzy kupowali kłudy. Jest to dwóch kolegów, kierownik i handlarz na bazarze. Wszystkie ich dane personalne tak dokładnie podał, że prokuratura pozwala.

Kędron i Chruszczyński dokonali włamania do kościoła w Łodzi, o którym mówiła Wolna Europa przypisując je milicji. Dokładnie dopuścił się on w Łodzi 21 wlamania do kościoła i jeszcze dwóch w województwach płockim i sieradzkim, razem 23. Okradł kościoły od 6 grudnia 1984 do 4 kwietnia 1985. Łącznie zarabował dobre wartości około 3 mln złotych: naczynia liturgiczne oraz biżuterię nagiętną. W trakcie kradzieży, która była ich celem

niszczył przedmioty kultu religijnego i bezczeszczył kościoły. W kościołach w Łutomerzku i Błotach zalałymi potrzebę fizjologiczną, oczywiście w intencjach profanacyjnych.

Od pierwszego włamania milicja prowadziła w tej sprawie energiczne dochodzenie nadzorowane przez Komendę Główną. O jego postępach informowano na bieżąco władze kościelne, w tym kanclerza Kurii Łódzkiej ks. A. Dąbrowskiego, a następnie powiadomiono o schwytaniu sprawców. Mimo to podczas kazań niektórzy księża zarzucali milicji bierność. Zdarzały się też twierdzenia z ambony, że wlamania pozoruje milicja (Kościół NMP w Łodzi). Kłamstwo zbicie z wolnoeuropejskim.

Część kościelnej milicji odzyskała i zwróciła okradzionym kościołom. W latach 1981-1985 popełniono ogółem około 600 tego rodzaju przestępstw co oznacza, że okradziono w tym czasie około 4 proc. ogółu istniejących w Polsce kościołów. W tym okresie przeciętny wskaźnik wykrywalności tych przestępstw wynosił 38 proc., czyli inaczej mówiąc na każdych 19 sprawców więcej niż sześciu łapano. Odzyskano mienie łącznej wartości około 50 mln zł. Wykrywalność rośnie. W pierwszym półroczu tego roku nastąpił dzięki temu spadek wskaźnika wlamania do kościołów.

W owej kwocie 50 mln zł nie mieści się odzyskanie w 1985 r. obrazów skradzionych w 1981 r. z poznańskiego Muzeum Archidiecezjalnego. Zlikwidowano całe bandy stałe trudniące się rabowaniem w kościołach. W tym w Łodzi oprócz Kędrona i Chruszczyńskiego siedzi 11-osobowy gang, który obrabował 21 kościołów.

Kto słucha ten jutro lub za dwa dni usłyszy z Wolnej Europy, że rzeczywiście może w sprawie tych włamania do kościołów w Aleksandrowie Łódzkim zasła nie z winy rozgłoszeń pewna drobna pomylka, ale za to na Mazurach ZOMO zeżarło czworo dzieci na surowo, wcinając je żywcem, a wiadomość jest pewna, bo podziemia.

JAN REM

Palcówka na tematy policyjne

w społeczeństwie wrażenia, iż zwykli złodzieje kościelni kradną dla zysku aby sama milicja mogła bezczeszczyć świętości. Po co — pytamy — i w imię czego milicja miałaby dokonywać włamania i bezczeszczenia? Czy żeby w oczach opinii zohydzać zwykłych złodziei? Przecież oni i tak nie cieszą się nieczym szacunkiem. Będąc na miejscu amerykańskiego kierownika Radia Wolna Europa zbadaliśmy spiesnie kwalifikacje umysłowe redaktorów sekcji polskiej. Wiadomo, że amerykańskie kierownictwo RWE nie ma nie przeciwo posługiwaniu się kłamstwem przez różnoróżne re-

zeka to oczywiście kłamstwa. Z Kościoła Parafialnego pod wezwaniem Sw. Rafała złodzieje skradli dobra wartości 419 tys. złotych, a więc wcale nie symboliczne sumy. Kwota ta dowodzi, że celem włamania był zysk, a świętokradztwa dokonano przy okazji.

Nieprawdą jest, że milicja nie wykryła sprawców. Zostali oni aresztowani między 17 a 19 kwietnia br., a więc już w kilkanaście dni po dokonaniu włamania i co istotniejsze aż w ponad trzy miesiące przed tym jak Wolna Europa zgłosiła, że sprawcy nadal pozostają nie wykryci. O aresztowaniu ich zaraz poinformowały

O skali wysiłków milicyjnych dla ochrony kościołów długo by pisać. Milicja postuluje lepsze zabezpieczenie budynków sakralnych i rzetelniej współpracę niektórych gospodarzy skradzionego mienia kościelnego z milicją, która spieszy im z pomocą. Część księży nie zgłasza milicji o kradzieżach i nie pomaga w ustaleniu faktów. Osobny problem to wlamania na plebanię. Z niektórych kradnie się często kilkanaście złotych, znaczne sumy dolarów, biżuterię.

Nie ma dnia aby Radio Wolna Europa nie przedstawiało jakichś kłamstw o milicji i służbie bezpieczeństwa ponieważ jej programowym założeniem jest stałe podważanie społecznego zaufania do pracowników ochrony porządku i wywoływanie ku nim nienawiści. Wyżyskuje się do tego celu wszystko co można, także uczucia religijne znacznej części Polaków. Chodzi o to, aby serca zaważyły gniewem, gdy do uszu wpadają miarodajne informacje o milicji lubującej się w bezczeszczeniu religijnych świętości. Codziennie też można by odpowiadać Wolnej Europie na jej igarstwa takim jak dzisiejszy telefonem. Lekam się jednak, że byłaby to telefonistka nazbyt monotonna.

Kto słucha ten jutro lub za dwa dni usłyszy z Wolnej Europy, że rzeczywiście może w sprawie tych włamania do kościołów w Aleksandrowie Łódzkim zasła nie z winy rozgłoszeń pewna drobna pomylka, ale za to na Mazurach ZOMO zeżarło czworo dzieci na surowo, wcinając je żywcem, a wiadomość jest pewna, bo podziemia.

JAN REM

ZIELONY MIRAZ

Ciąg dalszy ze str. 1

— Jedną klika chce zająć drugą. Ściągnęli na przetrzask parę promienionolnych wodzów z samorządów i związków, jak ty i ja, zrobili nam kłopoty i ustawiła parawan. Oni się będą ścierać, a my podstawimy głowy. Nie dla mnie to warzystwo — stwierdził Malik.

— Ja tam w filozofie się nie bawię. I wolę na swoim spychaczku niż pod nim. Trzeba zrobić porządek, wywalić ich, a jak nie ustąpią — odstrąkować.

— Przesadzasz! — Malik ma swoje argumenty. Przecież sam jesteś w porządku! Jak rano była tania ani razu nie spuściłeś beczki do rowu? Wtedy, jak dopisywałeś motogodzin, że niby ich więcej wyrobiliś i zostały ci nadwyżki paliwa. A teraz, kiedy ceny lewizny idą w górę, też nigdy nie przehandlowałeś kanistera?

— Nigdy. Może inni... Kiedyś podliczyłem swoich kierowców. Z niby przepchanie, przetrucione przez przewiezione, a faktycznie nie tknięte ziemi, można by sformować nasyd do Budapesztu.

— No dobra, ja dopisywałem, ale ty to podpisywałeś.

— Bo mi się było żal. Gdybym nie przykładał oczu na takie kawy, chodzący bez tytułu. Albo poszedłbyś na inną budowę, gdzie kierownik nie miałby skrupułów i pozwałaby ci na wszystko. Ja wtedy straciłbym ludzi i sam poszedłbym w odstawkę.

Targowski nie jest przekonany:

— Mogłeś się dorobić...

— Może i racja, ale nie takim sposobem — mruczy Malik. Nie widzę się dalej na budowie. Dół, prze do góry, góra naciska w dół, a w środku mijała się maluczy, tacy jak ja.

W hotelu gasną ostatnie światła. Związkowcy i samorządowcy wymieszali w jednym tyglu, naladowali akumulatory na nowy dzień oficjalny i kulturalny polityczny. Niedługo świt. Targowski podpiera brodę pustą politykierką:

— To co będziesz robił?

— Będę budował ludziom domy — deklaruje stanowczo Malik. Weźmie się za czerwoną cegłę, we własnej małej wytwórni.

— Dziwnak... Za parę godzin mamy w programie dalszą mióćkę. Opowiesz przy zielonych stolikach o czerwonej cegle, to się ludzie ucieszą.

— Nie będą mieli okazji do radości — myśli Malik wpatrzony w rosnące w oczach, kolorowe zabudowania frankfurckiego lotniska.

Po prośbie

Wylądował jak ta sierota. Ani słowa po niemiecku. Zaczął sobie gorączkowo przypominać pierwotny angielski, ale też szło ciężko.

Dolary zamienił na marki, a marki na kilka dni węgla. Zaczęła mu się śnić wizja pieszego powrotu do kraju. Wtedy przypomniał sobie, że może zostać w Niemczech jak inni, korzystający z „socjelu”. Starając się o zezwolenie na emigrację do różnych krajów zachodnich, a przynajmniej pozorując takie plany, dostać urzędowy papier i ów „socjel”. — spanie, jedzenie, siedemdziesiąt marek kieszonkowego.

— Wprowadzili mnie — wspomina Malik — do obozu Schwalbach pod Frankfurt. Dziesięć baraków ogrodzonych drutem kolczastym, automatyczna brama z wataha wartowników. We wnętrzu ze czterdziestu białych: Polaków, Czechów, Rumunów, Węgrów i z dziesięć razy tylu Murzynów.

W pokoju piętrowe, metalowe łóżka, stół, pusta lodówka. Jeszcze formalności: imię, nazwisko, pare innych szczegółów. Żadnej pracy, absolutny zakaz! Siedzieć i czekać. Tkwić więc między murami, cały czas pod obserwacją i pod kluczem.

Towarzystwo smętne, oswiałe, nabierające werwy tylko po codziennych gorzałce. Większość szczykowała się do skoku przez okno. Tylko część miała zostać na miejscu, po tamtej stronie drutów.

Jugosłowianie radzili sobie najlepiej. Było ich wielu, mieli popieranie szlaki, powiązania sięgające pa-

ru pokoleń. Od czasu do czasu pojawiał się w Malikowym pokoju pewien hercegowiński bokser, który dorabiał w knajpie jako wykladko i dodatkowo wspierał bezradnych.

Zaproponował fuchę w garkuchni. Jugosłowiańska restauracja serwowała ze dwadzieścia posiłków. Zaplecze nie większe od pokoju. W środku szef i on, Malik, chłopak do wszystkiego. Do zmywania, pichcenia saatek, obierania kartofli, płaczu nad wiadrami cebuli, sprzątania i wystukiwania kazań. Tak od osiemnastej do piątej rano. Sławka — cztery marki na godzinę, akurat na paczkę papierosów. Zaden Niemiec na taki numer nie pójdzie.

Malik wsiadł w te gary na dwa tygodnie. Wreszcie urapnęli go na bramie, gdy wracał do obozu jak zwykle nad ranem. Stróż wyliczył, że ten facet jest zbyt regularny w swych nocnych eskapadach. Po ceregieliach zwrócili wreszcie dokumenty, ale przejście było spalone — już mieli go na oku. Zaczął lazić przez plot i przywykać do posady posługaczki.

— Stałem kiedyś obstawiony naczyniami, pachnącymi cebulą i przyprawami, aromatyzujący jak szczyporek, kiedy wsadził głowę jakis mams: „Dobrze u nas, co? W Polsce gorzej, nie?” Usmiechnął się i wytoczył z knajpy, gdy ja obwieszony sierkami zastanawiałem się właśnie, z której strony dać mu w głowę.

Po kolejnym pięciu zrezygnował z jugosłowiańskiego folkloru i chlebowadwy. Wziął się znow, żeby złapać jakieś zajęcie. Malował, tapetował, tinkował, bawił się w chowanego ze swoimi aniołami stróżami, ale ta zabawa była coraz mniej zabawna.

Czasem zabierał się na chłaprę z Andrzejem z Poznania, który przyjechał tu do rodziny. Przez dwa miesiące stawał swagrowi domem. Za Bóg zapłać, ma się rozumieć. Przekonywali go wtedy, żeby został w wspaniałym Deutschlądzie, a jak skończył robotę i nie był już potrzebny, ulekowali go w obozie.

Szare dni miały przy kieliszku, wspominkach i kłótniach. Czasem urozmaicał ten marazm natłot poligacji, szukającej haszyzu, którym raczyli się Murzyni. Czasem występował w swoim kabarecie, gdy Andrzej — hydraulik i oliwa, który tyral parę tygodni, puszczał się w tango. Potrafił zostać w burdelu wszystkie oszczędności. Przywoził go po takich występach taryfa, organizowali zrzutki do kapelusza, żeby miał za co przeżyć, ratowali skretami, bo na papierosy nikogo nie było stać.

Na Wielkanoc była cała rozpusta. Nakupili schabowy, obsiedli stoł. Fantasta Henio zaczął pierwszy:

— Panowie, wszyscy jedźmy do Australii. Nie zagospodarowane tereny, zarobki do czterech tysięcy dolarów, owce można paść ze śmigłowca. Tam się obioimy i ruszymy dalej w świat.

Malik nie wytrzymał: — Utop się ze swoją fantazją. Ja mam prostszy plan. Trochę zarobek i wracam. Muszę spłacić dług i zainwestować w gline.

Na ten prywatny biznes zdecydował się już dawno. Dotarł nawet do białostockiego wicegubernatora, który nie skąpił słów dopingu:

— Słyszalem, że uparł się pan robić cegły. Bardzo cenny pomysł, więc postanowię pomóc.

Rysiek pościł się pod rozłożystą palmą, jakby mu było wstyd, że wcześniej nie zgłosił się po wsparcie do władz:

— Przeszedłem po studiach prawie wszystkie stanowiska budowlane i postanowiłem wreszcie zacząć coś konkretnego na swój rachunek. Mam projekt, dokumentację, różne warianty... Cłose stawiać małe cegielnie, prosie w obsłudze, montażu i demontażu, tanie, w miarę możliwości prefabrykowane. Wytwarzaliby budulec sezonowo, w pobliżu osiedli domków jednorodzinnych w czasie ich budowy, a następnie byłyby przenoszone. Z takiej fabryczki można by otrzymywać pół miliona cegieł rocznie.

Urządza mnie — ciągnął Malik — pół hektara nieużytków w pobliżu drogi, kil-

Ciąg dalszy na str. 5

BIAŁYSTOK stał się w latach siedemdziesiątych poważnym, łączącym się w kraju ośrodkiem elektroniki, a to dzięki m.in. wybudowania nowoczesnego zakładu.

„Unitra-Biazeł” bo o nim tu mowa, jest potentatem w produkcji wielu podzespołów używanych przy produkcji telewizorów kolorowych i czarno-białych oraz radiomagnetonów. Zdaniem dyrektora zakładu inż. TADEUSZA SZOSTKA istnieje olbrzymie zapotrzebowanie na podzespoły i to nie tylko w kraju.

Zakłady mają licznych kooperantów, którzy dostarczają różne elementy elektroniczne i inne, ale są również sami kooperantem takich producentów jak: WZT, gdański „Unimoru”, „Polkoloru” i Kasprzaka. Do tych odbiorców dostarcza się wytworzone tu zespoły — bloki odchylania i zasilania, gotowe płytki radiomagnetonu RMS—451 itp.

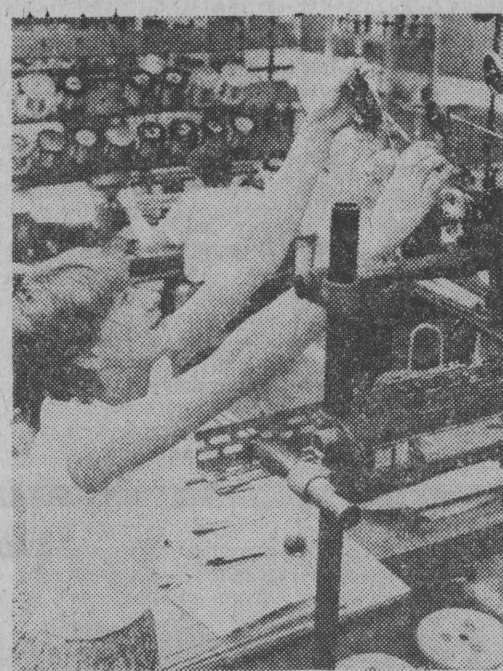
Ponad dwutysięczna załoga należy do ambitnych i niespokojnych, które ciągle poszukują coraz to nowocześniejszych rozwiązań konstrukcyjnych. Jeszcze w lipcu rozpoczęła się produkcja podzespołów do atrakcyjnego (novum) polega na zmniejszeniu pobieranej energii elektrycznej) odbiornika telewizyjnego kolorowej „Helios” produkowanego przez Warszawskie Zakłady Telewizyjne; ponadto powstanie tu nowy zespół programujący dla „Unimoru”.

Tekst i zdjęcia:

ZDZISŁAW
LENKIEWICZ

W zakładzie jest wiele taśm montażowych; na tej montuje się gotowe płytki stereofonicznego radiomagnetonu RMS.

W kuźni elektrotechniki



Nowotanie różnorodnych cewek to jedna z specjalności zakładu. Operację tę wykonuje właśnie JANINA SZOT.



Gotowe podzespoły kontroluje się na kolejnych stanowiskach. Przy sprawdzaniu jednego z modułów bloku odchylania zastajemy WOJCIECHA BIELSKIEGO.

Historie wiarygodne

„Wielu osobom zwyczajnie, codziennie halas, jakim nas darzy otoczenie, zdaje się nie przeszkadzać” — pisał autorka książki pt. „Oskolpiona ziemia”, A. Leńska. Jak długo panowały morze, nasze dzieci dawały wspaniałe niepospolicie siłom ugnijając się po piwnicach, trzaskając od czasu do czasu wejściowymi drzwiami. Teraz, gdy słonko przygrzało działnia wyszła przed domy aże są to bloki co najmniej kilkadziesiąt rodzin, nie jest jej sporo. Działnia nasza nie tylko że nie zdaje sobie sprawy ze swego zbyt hałaśliwego zachowania, ale ponadto ma ona skłonności do manifestowania pobytu na otwartej przestrzeni wyjątkowo przejmującymi krzykami. Nawet przedszkolak potrafi u poręcznym wołaniem rodziców wzbudzić zainteresowanie całego osiedla. Jeszcze skuteczniej nawoływać swoich „Jerynków” mamusia.

Z jednej strony można być zadowolonym z każdej poprawy pogody, bo „maluchy” przestają wreszcie grać w domu w piłkę nożną, ale z drugiej strony jednoosobowa drużyna przynajmniej nie wzmożła okrzyków zwycięstwa „jest”, trafiając w drzwi. Teraz, gdy walce podejmują na

traumatycznych dwie pełne jedyńskości, zamknięcie okien nie pomaga. Wzawa jest tak do kuczliwa, że trudno marzyć zarówno o pracy jak i o odpoczynku po niej. Jak ma wypocząć człowiek, który przyszedł zmęczony po zmianie bądź pragnie wypocząć przed nią? Zdumiewa mnie

w piłkę na przeddomowych „zieleniach”.

Wrażenie na halas jak i na piękno otaczającego nas środowiska i otoczenia nie wyrabia szkół, a już zupełnie nie interesują się tym rodzice. Dowodem tego są nasze klaki schodowe stanowiące istne muzeum nowoczesnej sztuki plastycznej. Wiadomo, że obec dzieci rzadko odważa się pisać i malować na korytarzach. Niech jednak ktoś

posiadających dzieci ryczałt za niszczenie, a właściciel dewastowanie ścian i wybijanie okienek piwnicznych.

Z wiekiem człowiek potrzebuje podobno coraz więcej spokoju i to nie tylko w czasie odpoczynku, ale także podczas pracy, zwłaszcza umysłowej. Schopenhauer powiedział: „Ilość hałasu, którą może znieść każdy bez szkody, stoi w odwrotnym stosunku do jego zdolności umysłowych”. Przyjmując to stwierdzenie za słuszne trudno nie popaść w zadumę.

Długość nie docierają do nas myśli wielkich ludzi. Jeśli nie odpowiada nam żaden z filozofów, posłuchajmy wypowiedzi znanego dyrygenta Andre Kostelanetz: „za mało przysłuchujemy się naturze. Jednym z najwspanialszych dzieł człowieka jest idealna, całokształt ciska”. Może nie idealna, ale umiarkowana cisza! Hałas jest mordercą wszystkich myśli.

CZESŁAW WRONKOWSKI

Hałas — mordercą myśli!

to, że przez kilka lat nie zauważyłem żadnego z rodziców, który by zainteresował się dziećmi grającymi na trawnikach przed domami. A dodać muszę, że dzieci nie są wcale takie złe. Gdy w ubiegłym roku zwróciłem im uwagę na to, że grając niszczą trawniki i pobawiając nas, w tym przede wszystkim siebie, tej odrębny uroku jako niewątpliwie jest zieleń, chłopcy nie tylko z zaciwującym zrozumiem przyjęli moją uwagę, ale ponadto przez cały rok powstrzymywali się przed grą

spróbuje rodzicom małych, zwrócić uwagę na to, że malowidła są efektem pracy ich synów i córek! Uważam, że współdziałanie mieszkaniowe powinno pobierać od rodziców



SENS POWIĄZAŃ

Dr ANATOL LESZCZYŃSKI — znawca historii Żydów Białegostoku, z którym pojechałem na w połowie czerwca br. (wywiad z nim pt. „Sens powiązań” ukazał się w „GW” 14 czerwca br.) z zapowiedzią podjęcia kolejnych tematów tego typu, gościł mnie teraz u siebie w warszawskim mieszkaniu. Pojechałem tam tym chętniej, że problem zaledwie zasygnalizowany znalazł uznanie Czytelników, czego dowodem były listy i telefony w tej sprawie.

Tu, na miejscu miałam możliwość zapoznania się, choćby tylko pobieżnie, z bogatą, specjalistyczną literaturą. Sam gospodarz służy jednak najpełniejszą informacją. Mam oto przed sobą Białostocką Księgę Pamiątkową (THE BIALYSTOKER MEMORIAL BOOK) wydaną w Nowym Jorku w 1982 roku przez tzw. Białostockie Centrum po to, by zachować pamięć o Żydach Białegostoku, ich początkach, działalności gospodarczej, kulturalnej i religijnej, a także o losie w okrutnym okresie okupacji. „The Memorial Book” wypełnili trzej różni, często znakomici autorzy, lecz komitet redakcyjny stanowili wyłącznie byli mieszkańcy Białegostoku. Wydanie — je finansowali Żydzi Białegostoku zamieszkali w Stanach Zjednoczonych. Na 600 stronach (200 w języku angielskim, 400 w jidysz) zawarte są nieznane dotąd zdjęcia i fakty.

Warto wspomnieć, że ziomkostwu Żydów Białegostoku w Nowym Jorku przewodził SAM SOLASZ z Knyssy, który przeżył okres okupacji przez cały czas ukrywając się w tym miasteczku po uprzedniej ucieczce z transportu. Sekretarzem generalnym jest natomiast IZAAK RYBAL-RYBALOWSKI, białostoczanie z urodzenia. W okresie międzywojennym był on w naszym mieście drukarzem i działaczem związkowym. Jego matka miała dom zajezdni w pobliżu dworca kolejowego przy dzisiejszej

rabinem, a ojciec — Szołme Jakub Rabinowicz — znanym architektom, twórcą m.in. miejscowej synagogi. Młodość spędził zapewne szczęśliwie, spędził w gronie kochających ludzi, w mieście, w którym zaczął się objawiać wielki talent. Stąd zapewne zawarta w obrazie nostalgia, zaduma i refleksja, ale przecież także przeżycia dramatyczne. To czerwone niebo wokół synagogi...

DRUKARZ
Z BIAŁEGOSTOKU

Niebo z lekka czerwone. Na tym leży wieża Ratusza, kominy fabryczne, a w centrum — kopuła synagogi. Dookoła niebiesko-zielone domy widoczne jakby przez mgłę. Śródmieście Białegostoku, takie, jakiego dziś już nikt może nie pamiętać?

Patrzę na ów obraz BENNA (Bena Cyrona Rabinowicza, Żyda urodzonego w Białymstoku w 1905 roku, dziś sędziwego malarza o światowej sławie mieszkającego od lat w Paryżu, usiłując wyczuć intencje artysty. Są to z pewnością reminiscencje z czasów młodości spędzonej w Białymstoku, gdzie jego dziad był

Warto wspomnieć, że ziomkostwu Żydów Białegostoku w Nowym Jorku przewodził SAM SOLASZ z Knyssy, który przeżył okres okupacji przez cały czas ukrywając się w tym miasteczku po uprzedniej ucieczce z transportu. Sekretarzem generalnym jest natomiast IZAAK RYBAL-RYBALOWSKI, białostoczanie z urodzenia. W okresie międzywojennym był on w naszym mieście drukarzem i działaczem związkowym. Jego matka miała dom zajezdni w pobliżu dworca kolejowego przy dzisiejszej

ulicy Manifestu Lipcowego na lewo od wiaduktu. To oczywiście wiadomość dla tych, którzy pamiętają jeszcze przedwojenne miasto.

Księga ta, rozpowszechniona w środowiskach białostockich Żydów na całym świecie stała się istotną formą więzi z rodzinnym miastem nie tylko starszego pokolenia. Ma ona służyć zwłaszcza młodzieży, by nie zapomniała o swoich korzeniach.

Widzę go na zdjęciu w starszym wieku. Ma długą, siwą brodę, na głowie futrzana czapkę. Prawdziwy globtrotter! Zmarł w Nowym Jorku mając 103 lata.

Dr Anatol Leszczyński opowiadał mi o słynnych Żydach Białegostoku nie u-

IRVING STONE
SYN JAKUBA

W mieszkaniu dr Leszczyńskiego telefon dzwonił bez przerwy. Rozmowy dotyczyły głównie pracy historycznej

MUZEUM WSPOMNIENIA

Nie zabrakło nam dużo czasu odnalezienie tego domu, statecznie Suraz jest maleńkim miasteczkiem; jedynym najmniejszym w Polsce. Zanim zapukaliśmy do drzwi wielkiego, drewnianego domu, obejrzelśmy sobie to wszystko, co było do zobaczenia na miniaturowym podwórku. Naszą uwagę zwróciły przede wszystkim wielkie, kamienne wykonane z jednego bloku, płyty z zatarzonymi przez nas blagany czas śladami runicznych znaków. Niewątpliwie mienne nagrobki; czyżby? Książki jędrskich, starosławskich, dawnego pogańskiego jeszcze Podlasia i Mazowsza. Ha! Tak czy inaczej: naszych przodków.

Na prowizorycznych stołach własnej roboty kamienne, le, groty do strzał, ościeńce, fragmenty prymitywnych narzędzi. — To wszystko znajdowałem nad brzegami Narsta tu kiedyś potężny gród, a wokół niego rozciągały ludne podgrozie — powie nam później pan WŁADYSŁAW LITWIŃCZUK, fundator, właściciel i kustosz tego jedynego w swoim rodzaju muzeum w Polsce.

Jeszcze rzut oka na szczytki kamiennych żarn, stare sierpy, fragmenty innych, niedyszyjszych narzędzi. Tak sobie chodząc bezpańsko po tej ekspozycji na otwartą przestrzeń; wokół panuje przejmująca cisza, jak to w niedzielne popołudnie; może w tym drewnianym, pomalowanym na żółto domku nikt już nie mieszka?!

Pukamy najpierw do frontowych drzwi, potem do tych bocznych, prawie niewidocznych w gęstwinie drzew. Wreszcie słyszymy jakiś szmer, a potem rozszepany głos, jakby kogoś przebudzonego z poobiedniej drzemki: — Wy-cieczka, czy może większa grupa?...

— Nie, nas jest tylko dwóch — odpowiadamy z leciutkim poczuciem winy, że jest nas tak nieprzezwyciężalnie mało. — Nie szkodzi, nie szkodzi — mówi łagodnie starszy pan. — To nawet lepiej; będzie można wszystko dokładniej pokazać i wyjaśnić.

Wprowadza nas do jednej malutkiej izdebki, potem drugiej. Pełno tu przeróżnych staroci rozmieszczonych trochę bez ładu i składu. Ale coś można zrobić w tej ciasnocie. Nie da się zaprzeczyć, że o pięknu muzeum czynił co mógł, aby wprowadzić do zbiorów jakiś logiczny porządek. Ten fragment pokoju zajmuje paleontologia, nieco dalej archeologia, tu obok etnografia, następnie dzieje rodzinnego Suraza. I to wszystko na kilkunastu metrach kwadratowych powierzchni.

A pan Władysław Litwińczuk drepcze kolo nas i opowiada, opowiada! O każdym, najdrobniejszym nawet ekspozycje ma tyle ciekawego do przekazania gościom! Te topory katowskie na przykład; liczba otworków w nich świadczą, że ów posępny urzędnik miejski nie próżnował! Nie za darmo brał pieniądze z magistratu. Każdy taki otwór to jedna odrabiana lepetyna jakiegoś nieszczęśnika.

A te stare mapy i fotografie dawnego Suraza i okolic. Każda ma swoją historię, będąc sama zapisem historii. Pytamy starszego pana, kiedy to się zaczęło, kiedy postanowił zbierać te przeróżne rzeczy — milczących świadków minionego czasu; co go do tego popchnęło?

Pan Władysław Litwińczuk ma obecnie 84 lata — piękny wiek! — I trzyma się nad podziw dzielnie. Chętnie wraca do przeszłości; są to przecież wspomnienia z jego własnej, jakże odległej młodości.

— To było jakoś zaraz po komasacji gruntów, chyba w 1928 roku. Dawne miedze, wawoży i jary znalazły się teraz w niejednym gospodarstwie. Wyjechałem w pole i zacząłem akurat przypaść po komasacji. W pewnym momencie plug mi podkoczył, jakby zawadził o jakiś kamień. Zatrzymałem się, pochyliłem nad skłęb, patrząc, a tu skorupy glinianego garnka. Może znajdę jakiś skarb, pomyślałem, w domu się nie przelewa. Przysiadłem się trochę groza. Zamiast złotych czy choćby srebrnych monet wy-

choćby srebrnych monet wy-

choćby srebrnych monet wy-

choćby srebrnych monet wy-

choćby srebrnych monet wy-

choćby srebrnych monet wy-

choćby srebrnych monet wy-

choćby srebrnych monet wy-

choćby srebrnych monet wy-

KORZENIE

decydował się opuścić szkołę i uciec spod carskiej presji. Udał się więc do Sankt Petersburga, a następnie do Nowego Jorku. W 1905 roku przybył do Stanów. Mieszkał potem w Chicago i Cleveland. Pracował w starym holenderskim teatrze. W 1908 r. ożenił się z Jenny Kantor (zm. w 1980 r.) z którą miał czwórkę dzieci. I oto dziś Irving Stone, słynny amerykański pisarz, który trwałą pozycję w literaturze światowej zdobył dzięki powieści „Korzenie”.

Sezonowy ruch na torach

Kolonijne szlaki

— Kłopoty paliwowe — mówi starszy referendarz białostockiego Referatu Przewozów Pasażerskich PKP, HENRYK JÓZWIK — sprawiły, że największy ciężar przewozów dzieci na kolonie spadł na barki kolei. Nie bez znaczenia jest też fakt, iż podróże pociągami kosztuje najmniej, a ludzie teraz skrupulatniej obliczają swoje wydatki. Nie więc dziwnego — dodaje — że z grupowych rezerwacji, zgłaszanych do nas z prawie czterech województw, skorzysta w tym roku około 60 tys. dzieci, podczas gdy w ubiegłym sezonie, było ich ponad 44 tysiące.

Podobne nasilenie odnotowywają pozostałe rejonowe w kraju. Wyjątkowo przeciętnie ma Kraków, okolice Zakopanego, Krynicy, i rejon Gdańska, przeżywające w tym roku prawdziwe obłożenie kolonijnych gości. PKP przygotowuje się do wakacji bardzo starannie i na długo przed ostatnim szkolnym dzwonkiem. Nakłada to na organizatorów wypoczynku dzieci obowiązek centralnego planu przewozów dzieci na kolonie letnie. Przez trzy tygodnie, a czasem i dłużej opracowują go ponad 120-osobowy zespół specjalistów.

Właśnie od tego ważnego dokumentu rozpoczyna się każdy wakacyjny dzień na wszystkich kolejowych stacjach w kraju. Od niego też zaczyna swoje urzędowanie czteroosobowy zespół białostockiego Rejonu. Oprócz interesantów potwierdzających zaplanowaną rezerwację, uzu-

pełniających dokumentację przewozów, zgłaszają się penci do sprawami „nadzwyczajnymi” i nagłymi. A że każda z nich jest nietypowa, trzeba załatwiać ją również nietypowo, często w trybie doraźnym. Niezmiernie ważnym uzupełnieniem centralnego planu są telegramy. Informują o zmianach: dat przejazdów, tras, ilości miejsc, a nawet o rezygnacji. — Tylko w ten sposób możemy nadążyć z dostosowaniem potrzeb klientów do obowiązującego planu i możliwości kolei — twierdzi mój rozmówca.

Tymczasem tabor kurczy się systematycznie. Wystarczy zmysłowi sobie fakt, iż ilość nowych wagonów wprowadzanych do eksploatacji jest przeważnie mniejsza od ilości kasowanych. Rosnie tylko liczba zdemontowanych przez pasażerów. Nie może być przecież zwiększenie ilości rezerwacji z piętnastu (w latach ubiegłych) do dwudziestu procent ogółu miejsc. Wiemy, że nadto dobrze, że na-

wet bilet do „jedynki” w pociągu ogólnodostępnym nie gwarantuje miejsca siedzącego. Moglibyśmy mieć do niego w ekspresie, co przy obecnym stanie taboru PKP jest po prostu niemożliwe.

Jak więc w okresie wzmożonego ruchu pasażerskiego radzi sobie przewoźnik z rezerwacją miejsc dla młodzieży? — Białostok rezerwuje codziennie dla grup kolonijnych od dwustu do trzystu miejsc w pociągach kursujących zgodnie z aktualnymi rozkładami. Natomiast część dzieci podróżuje pociągami specjalnymi. Kolonijne składają się z reguły duże; mają 12 a często nawet 15 wagonów. Dojazd do miejsc przejazdu jest później zainteresowanym stacjom, dzięki czemu wiadomo do którego przedziału i gdzie wsiadać będą mali podróżnicy. Jest przy tym sporo gimnastyki.

Coraz z dorosłymi opiekunami i organizatorami wyjazdów. Niezależnie od prognozy, nadają natychmiastowego, oczy-



wiście poza kolejnością, załatwienia ich spraw. Groźna, straszą, nie przyjmując tłumaczenia, że o rezerwacji należało pomyśleć w marcu. Kolej nie przyjmuje do realizacji zamówień w okresie tzw. szczytów przewozowych, np. w dniach 29, 30, czerwca do 2 lipca. Niektórzy posuwają się do propozycji wykreślenia pierwszej z brzegu grupy i wpisywania na to miejsce ich podopiecznych. Prawie wszyscy bardzo się śpieszą — uśmiecha się pan Henryk. My musimy znaleźć czas na wszystko. Informujemy, wy-

jaśniamy, doradzamy, również odmawiamy, ale naprawdę rzadko. Organizujemy rezerwację wszystkich grupowych przewozów. Kolonie są tylko drobnym wytknięciem naszej pracy. Każdy pełent o trzymuje kartę informacyjną, w której są absolutnie wszystkie dane dotyczące przejazdu. Ogromne to ułatwienie szczególnie wtedy, gdy się odpowiada za cudze dzieci.

— Jak tego dokonujemy? No cóż, przyznaje pan Józwik, jesteśmy po trosze jak komputery dysponujące bez-

biegłym rozemnianiem, nie tylko w rozkładach. Mówiąc na przykład o jakimś pociągu, widząc trasę i stacje na których on staje. Od Goldapi do Świerawek Wielkich i Tuszcz pod Warszawą. Znam je wszystkie na pamięć, byłem na każdej, a to naprawdę pomaga w pracy. Bez tego siedziałbym w biurze podczas akcji kolonijnej przez okragłą dobę. A tak mogę pójść na parę godzin do domu, choć przyznaję, część dokumentów uzupełniam właśnie w domu, nawet nocą.

Henryk Józwik pełni swoją funkcję 27 lat. Jego współpracownicy są również „zasiedziali”. Podobnie zresztą jest w innych rejonach. Wieleletnie telefoniczne przyjaźnie ułatwiają załatwianie służbowych spraw, wspierając pomocą w chwilach, gdy zawodzi oficjalne sposoby.

Znają swoje głosy, nie wiedząc nawet jak wyglądają. Mimo to doskonale wiedzą na kim można polegać, a czyje słowo, obietnica nie jest warta funta kłaków.

W codziennych telekonferencjach uczestniczą wszystkie dyrektory PKP i przedstawiciele resortu. Płyną w kolejeje efer szczegółowe relacje, również o kłopotach. W ubiegłym roku, wyznaje pan Józwik, zdarzyło się i nam przeoczenie, które na szczęście zażyczyliśmy w porę naprawić. W tym roku wpadło nie było, ale lepiej odstukać w niemalowane biurko.

— Jak tego dokonujemy? No cóż, przyznaje pan Józwik, jesteśmy po trosze jak komputery dysponujące bez-

LUCYNA SZEPIEL
Fot. ZDZISŁAW ZAREMBA

ZIELONY MIRAZ

Ciąg dalszy ze str. 4

kanaście kilometrów od miasta. I jeszcze wsparcie kredytowe na budowę próbnej cegielni.

Wicewojewoda nie widział problemu:

— Inicjatywa w sam raz na nasze kryzysy i deficyty. Należy stworzyć udogodnienia rzemieślnikom biorącym się za wytwarzanie materiałów budowlanych.

Po kilku miesiącach „Gazeta Współczesna” doniosła w felietonie „Zrób pan cegłę”: „Panowie inżynierowie, wspólnicy od (nie)wypałów zjeżdżali parę gmin wokół Białegostoku, zjeżdżali w miejsce i na wsi kilkadziesiąt urzędników, w końcu gdzieś ulokować. Po miesiącach tulać, dzięki nieopisanym uprzejmości władzy, pewne wojewódzkie autorytety rozpięły nad nimi coś w rodzaju patronackiego parasola. Parasol okazał się dziurawy (...).”

Tak przynajmniej stwierdzili panowie inżynierowie, gdy — chyba trochę przedwcześnie — zwątpili w mecenat i podążyli własnym traktem na glinianą wyspę. Malik po raz trzeci poszedł tam pod wodę. Tym razem miał towarzysztwo, co nie złagodziło jednak bolesnych doświadczeń.

— No, dość kontemplacji! — rzyknął w ucho podopieczny Andrzej, partner obozowych domokrążców. Dziś robimy przy główkach — zapomniałeś? Szambo wonne jak perfumy. Kupimy sobie kilka paczek papierosów.

Z innej gliny

— Już wtedy, po kilku tygodniach rozkoszy w bałajnym Deutschlandzie glina zaczęła mu trochę parować. Malik smętnie wspominając tamte perspektywy. — Z rok w baraku, prześwietlenia, obserwacja, czy pasuje do idealnej społeczności niemieckiej, potem nieuniknione monachijskie komisje, zmyślenie biograficznych nieszcześć i ewentualnie azyli. Ucieczka? Przed kim, przed czym? Przed własnymi stresami w nowo?

Na ostatnich zaskórniakach dotrwał wreszcie przenosin do „pensjonatu”. Stary, wycofany z eksploatacji hotelik w górskiej miejscowości, miał być teraz rezydencją pięciu Polaków i dwudziestu pięciu innych. Dalej obowiązywał zakaz opuszczania miasteczka i podejmowania pracy, ale nie daleko się go brać serio.

Malik zaczął ćwiczyć niemiecki, żeby sobie otworzyć drogę do jakichś fuchy. Na razie potrafił tylko recytować „ja robię dobrze” i parę innych tekstów, z których cieszyl się bliźni. W języku angielskim, który zdążył opanować, dyskusje jakoś nie szły. Zupnie jakby gadał w swymkim gminnym urzędzie. No jedno, a panienka druga. Już mu się nawet orka w podbiałostockiej glinie wydała bardziej malownicza i użyteczna. Coraz częściej wracał do tych wspomnień.

Wielkie opłotki maszerują aż pod las. Po polach szkatkowych miedziarni suń watahy bydła. Na wzgórkach sterczy jak pomnik nowych czasów pękata sylwetka pieca. Dalej wiat, fundament przerzucający kępy wyliniałej trawy. Zwalone części maszyn, na których Malik i jego wspólnik — Kazimierz Mizerski co chwilę zatrzymują wzrok, dopinają do pospiechu.

Chłopi odrywali się od widel, od krów. Cała wieś waliła na pagórek, popatrzyć na inteligentów, co to im forsę na rozumy padła. A że padła, to jasne. Wcześniej siedział na tej glinianej wyspie niejaki Krawczuk i teraz on gości całą gębą. Po cegielce, detaliznie nabijał kabzę i dziś jeździ „Fiatem”.

— Wiesz ty Każmirz — sapał Malik — tu jest robot! Upięprz się człowiek, ale widzi, jak mu rośnie gospodarka.

Mizerskiemu mniej sentymentalnie: — Wszystko fajnie, tylko czasu mało. Zaraz grudzień. — To przez urzędowe draństwo — zgryzta Malik. Na pół roku utknęliśmy w załatwianach, a i tak musieliśmy sami spienetrować każdy hektar w promieniu dwudziestu kilometrów od Białegostoku. I co? Gówno! Podobno ani śladu nieużytków, wszystkiemu elegancko zagospodarowane, tylko żywność na kartki!

— To przez urzędowe draństwo — zgryzta Malik. Na pół roku utknęliśmy w załatwianach, a i tak musieliśmy sami spienetrować każdy hektar w promieniu dwudziestu kilometrów od Białegostoku. I co? Gówno! Podobno ani śladu nieużytków, wszystkiemu elegancko zagospodarowane, tylko żywność na kartki!

— Wiesz ty Każmirz — sapał Malik — tu jest robot! Upięprz się człowiek, ale widzi, jak mu rośnie gospodarka.

Mizerskiemu mniej sentymentalnie: — Wszystko fajnie, tylko czasu mało. Zaraz grudzień.

— Nie jęcz, Rysiek, bo i tak nam się udało. To był dobry pomysł, żeby grzebać w rozwalonych cegielniach. Na wierzchu ruina, a na głębokości dwóch metrów cegła samotowa w sam raz na nasz piec. Ważne, że już budujemy.

— Ale nie to, co w planie — marudzi Malik. Weszliśmy chłopu na gospodarke i bawimy się w prowizorkę. A ja jeszcze muszę się wygłupiać z kursem dla rolników.

Na ten roczny kurs powędrował, gdy dowiedział się, że nie może kupić piędziu większych nieużytków, jeśli nie będzie miał uprawnień. No więc co tydzień zasiada w ławie, wyciąga zeszyty, okłada się książkami. Zda egzamin z hodowli i upraw, to będzie mógł wypalać cegłę.

Najgorsze, że utkwili w finansowym dołku. Dwa miesiące zabralo im załatwienie kredytu, aż kiedyś sięgnęli forsę nie mogli jej tknąć. Na jedzenie nie da się tego ruszyć. Przelewem dla wykonawców, owszem, ale przecież nie mogli czekać z robota. Odwalił ją sami. Gotówka niekiedy na koncie, a oni po uszy w długach. Z czego żyć, zanim cegła zacznie procentować? Gdyby choć ten kredyt udało się sięgnąć wcześniej...

Mijądną dno. Śnieg syple miarowo, jednostajnie. Warstwa gliny, warstwa śniegu i dalej ten sam przekładaniec. Rece grabieja. Z domu znikają mniej niezbędne sprząty, wreszcie do garnka i na spłatę długów idzie „maluch” Malika.

— Przejęmy cały dobytek! — Zofia Malikówna nie skarzy się, ale rzeczoowo przypomina, że w rodzinnej kasie widać dno. Tymczasem Ryśka tak wesoło w glinę, że zapomniał o zdrowiu. Musiał odwiedzić szpital. Rany po zabiegu goiły się z trudem. Miał miesiąc, dwa, a on gotów do łózka, a nie do roboty.

Chyba wtedy pomyślał o wyjeździe. Kumpie wracali z Zachodu obwołani. Tak przynajmniej twierdził: żaden nie narzekał. Fama poszła po ludziach o szwalcarskich i zachodniomiemieckich złotych górach, więc Malik ruszył po te fortune. Siedzi teraz na owej złotej górze i wypatruje oczy, z której strony najlepiej się do niej dobrać.

Przesilenie

Wymarzone atrakcje z dnia na dzień traciły swe wdzięki. Szwendali się jak Cygan po osiedlach, kolatał do furtki i drzwi, by oferować usługi. Wozili meble, strzegli żywopłoty, wbił w ścianę kółki, lapał co się dało i zagnął co laska. Zamieniał gotówkę na ciuchy, iakości i drobniactwo, ślał paczki zamiast listów z zapewnieniem, że mu dobrze, ciepło i syto, a skromna reszta grosza chował za pazuchę.

Nigdy w dostaki nie opływał, więc nie czuł, że portki ledwo trzymają się siedzenia. Antek co innego. Zostawił w kraju kwiatkarnię, prawdziwy biznes i co chwile leciał do niego z pytaniem czy już wraca, bo on by się też zabrał.

— Słuchaj — zagadnął kiedyś — ile ty zarabiasz? — Mniej więcej dziesięć tysięcy.

— Dziennie? — Głupio! Antek? Miesięcznie.

— Stary, ja miałem większą dnołkę.

— No to po jaką cholere siedzisz w tym grąjdołce? — Bo mi padło na rozum. Zachciało mi się Zachodu i zielonego szmalu. Teraz oczom nie wierzę, że nie stać mnie nawet na paczkę do domu.

Malik nie miał już ochoty iść po raz kolejny na dno, a pływać w mętnej wodzie dłużej się nie dało. Spakował swój lichej dobytek i wystartował do odlotu.

— Miałem — powiada — dość jałowych dysput, ogólnych argumentów, nie-mieckiego bezpojęcia o sytuacji w Polsce i wiecznych poniek. Nie przywożem dostatków, ale boso nie wróciłem. Teraz wezmę się znow za cegłę. Sam sobie udzieli kredytu i nie będę oglądać się już na kredyty. Inna rzecz — ile to kosztowało. Myślę, że dostatecznie dużo, bym ilużje przestał brać serio.

ANDRZEJ POLAKOWSKI

P.S. Na prośbę zainteresowanych imiona i nazwiska zostały zmienione.



We wszystkich opracowaniach dotyczących historii Białegostoku nie ma miejsca poświęca się rozwojowi przemysłu. A jeśli przejdzie, to przede wszystkim i zgodnie z prawdą — wólkienictwem. Po Łodzi i Bielsku Białym w latach międzywojennych w nas właśnie nie produkowało się najwięcej tkanin różnego asortymentu. Wylicza się więc ilość fabryk dużych, średnich i małych. Właścicielami tych największych byli Niemcy i Żydzi, a robotnikami w większości Polacy.

W tej wyliczance nieczęsto wspomina się o tym, jak te fabryki prosperowały. A było

Jak majorowi do ręki przemawiano

z tym różnie i raczej nie najlepiej. Istniały fabryki czynne tylko kilka miesięcy w roku. Większość produkowała tylko na jedną zmianę. Dlatego też wśród białostockich bezrobotnych największą grupę stanowili włókiennarze.

Wszystko zależało bowiem od obrotności i handlowych kontaktów właścicieli. Do takich „obrotnych” należeli m.in. Sokół i Zylberberg. Ich fabryka zajmowała teren od ul. Warszawskiej wzdłuż Orzeszkowej, aż do rzeki Białej. Sokół był synem niebogatego lonkietnika (dziś by to można określić: chałupnik włókienniczy wykonyjący pracę naładowa) i dobrze znającego swój zawód majstra. Zylberberg zaś kupcem z gotówką. Ta spółka fachowcy z biznesem doprowadziła do tego, że fabryka z jednego, na początek, budynku, rozrosła się do giganta (mierząc to białostocką miarą). Pod koniec lat trzydziestych była to bodaj największa i najlepiej prosperująca fabryka Białegostoku.

Dziś pozostały po niej przy ul. Warszawskiej (vis-à-vis pawilonu usługowo-handlowego) szczyt bramy wjazdowej, małe zabudowania ślepa, drewniana ściana odwrócone do ul. Warszawskiej i parterowy drewnianiec (dziś budynek mieszkalny), w którym niedługo mieściło się biuro fabrykanta. Sadząc po rozmiarach domu, personel administracyjny fabryki Sokola nie był zbyt liczny, ale za to fabryka pracowała przez cały rok — no może nie przez cały rok, bo sprytni właściciele zamykali ją na dwa tygodnie, aby uniknąć udzielenia robotnikom płatnego urlopu ustawowo im należnego po roku pracy. A ponieważ nie było pełnego roku, to i urlopu nie było.

Tkaniny mundurowe i płaszczowe oraz ko-

ce i dery pod kawaleryjskie siodła produkowały w Białymstoku jedynie fabryki Szapierowicza przy ul. Poleskiej oraz Sokola i Zylberberga przy ul. Warszawskiej.

Przygotowywanie produkcji dla wojska związane było ze swego rodzaju ceremoniałem podczas przygotowania mieszanki surowcowej.

Dokładnie czyściło się więc mieszankę, podwożło bele surowca, ustawiało wagę oraz stółki dla komisji wojskowej. W skład takiej komisji wchodził najczęściej: major, porucznik i sierżant wszyscy z intendenty.

— Tak się działo składowo — wspomina pan Kazimierz Filipczuk — że kiedy ułożono już połowę partii, zjawiała się zwykle ładna urzędniczka fabrykanta Sokola i z uroklowym uśmiechem zapraszała komisję na śniadanie, mówiąc zapewne: „Pan major się zmęczył, pan major odpocznie. Zapraszamy na posiłek”.

Komisja oczywiście nie odmawiała poczęstunku i znikła na fabrykanckim gabinecie. Podczas tej „przerwy śniadaniowej” do przygotowanej już mieszanki surowcowej pośpiesznie układano kilkadziesiąt kilogramów surowca z odpadów, tzw. szarpanki. Różnica w

cenie dobrego surowca i szarpanki była taka, że przy jednej tylko operacji, fabrykant miał taki zysk, że wystarczałaby na zbudowanie domu jednorodzinnego. Takich operacji w tygodniu zdarzało się kilka.

Oczywiście oszustwo to można było dość łatwo wykryć podczas odbioru gotowych tkanin. Nie dochodziło jednak do tego, bo... tu też odbywał się stosowny ceremoniał. W tamtych latach komisja wojskowa odbierała z fabryki gotowy produkt nie dysponowały urządzeniami laboratoryjnymi do jakościowego badania tkanin. Wszystko polegało jedynie na oględzinach wzrokowych, dotyku i „próbie wody”.

Próba ta sprowadzała się do tego, że z całej partii tkanin wybierano dowolną sztukę. Czterech robotników rozciągała ją za rogi, a piąty wylewał na środek tej tkaniny wiadro wody. Takiej próbie białostocki produkt najczęściej nie „wytrzymywał, bo po nasiąknięciu, woda zaczynała z materiału kapieć.

W takich razach komisja kategorycznie odmawiała, że wyrób jest „do kitu” i całą partię odrzuca. Opiekujący się komisją przedstawiciel fabryki nie rezygnował, ale grzecznie zapraszał członków komisji „na konferencję” do pana fabrykanta. Konferencje te polegały na tym, że właściciel fabryki przemawiał nie tyle do sumienia, ile do ręki członków szanownej komisji. „Argumenty” miały zapewne swoją wymowną wartość, bo po godzinie jak gdyby nigdy nie, ładowano towary na woz i wysyłano do wojska.

Do takiego ceremoniału przyzwyczajona była komisja i fabrykant. Obie strony robiły przecież na tym niezły interes.

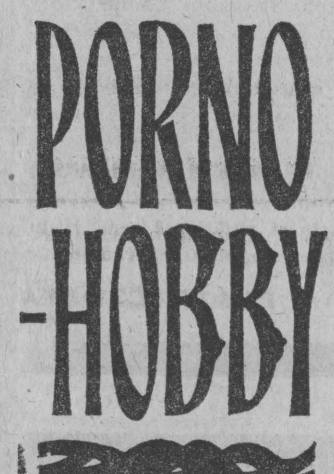
EUGENIUSZ HRYNIEWICKI

Pan Jan trafił do Kopenhagi w drugiej połowie lat sześćdziesiątych i oczy mu wyłazyły, kiedy zobaczył to morze pornografii na każdym kroku. Przedtem, owszem, podróżował nieco po świecie, to i owo widywał, lecz nawet w libertyńskim Paryżu, w okolicach Placu Pigalle sprzedawali ten towar dyskretnie. A tu, proszę bardzo. Kiosk w pobliżu kina na centralnej ulicy Westerbrogade, w kiosku dwie panie, starannie zondulowane, takie, które powinny sprzedawać losy na parafialnej loterii, a sprzedają każdy dobrze wie co.

Te panie wpłynęły na pana Janka tak, że uznał, iż może bez poczucia winy dokonać zakupu wielkiej partii kolorowych „świerczyków”, wydając na to sporą ilość wymienialnej waluty. Pomyślał, że mu się to skalkuluje i tyle, że będzie miał czym zabawić towarzystwo w Warszawie.

Udało mu się o tyle, że wracał przez NRD, a na tej granicy policyjnej celnicy nie spodziewali się pornografii i przepuszczali cały ten towar. Przybyłszy ze Skandynawii, a z Danią szczególnie, poddawano wówczas starannej kontroli, po czym służba celna miała zapewnioną rozrywkę przy przeglądaniu i klasyfikacji zatrzymanych materiałów.

Jeżdżąc potem nieraz w tym kierunku, pan Jan uzupełniał kolekcję. W międzyczasie napisał o pornografii artykuł w jakimś piśmie, skąd dostał zaświadczenie iż mgr Jan K. zajmuje się tym zagadnieniem i nie miał kłopotów z celnikami. To, że jest magistrem od terenów zielonych nikogo nie interesowało.



lub oddawali mu te, które już się opatrzyły.

W ten sposób, w ciągu kilkunastu lat, mgr. K. dorobił się kolekcji imponującej, przy pomocy której można było prześledzić mody i kierunki w tej dziedzinie, rodzaje ludzkich upodobań i dewiacji, o-sobliwości stylów itp. z tym, że samego pana Jana przedstawiał bawić nie tylko temat, lecz samo zajęcie kolekcjonera. Z poczucia obowiązku klasyfikował i rozkładał według działów materiały, które ciągle doń napływały. Aż wreszcie żona powiedziała, żeby się wystrząsł o dodatkową

powierzchnię mieszkálną, co kolekcjonerom przysługuje, lub wyrzucił to wszystko do diabła, bo coraz ciśnie i kurz, a jej zaczyna dolegać astma.

Wystąpienie jako kolekcjonera do wydziału kultury wydawało się panu K. niestosowne. Wyrzucił było mu żal. W końcu piękny zbiór i dobrych parę lat pracy. Sprzedał też nie bardzo wypada, a i nie bardzo jest komu. Pozostawał więc dar. Ale komu? Żadna placówka naukowa i kulturalna nie pasowała. I wreszcie cały ten kram otrzymał pewnego dnia w prezencie, pasierb pana K., a syn jego żony z poprzedniego małżeństwa. Chłopak miał dwadzieścia lat i zdradzał żywioło zainteresowanie tematem, a dowiedziawszy się, że ojczym chce się kolekcji pozbyć, zaczął prosić by mu ją podarował w tajemnicy przed mamą.

Pewnego dnia, kolekcja wyjechała z domu państwa K. i zapanował spokój. Na krótko jednak, dopóki do pana Jana K. nie przyszło wezwanie z prokuratury w charakterze podejrzanego z art. 173 paragraf 1 i 2 k.k. dotyczącego rozpowszechniania, a także sporządzania, przechowywania itp. przedmiotów mających charakter pornograficzny. „Leci za to” do dwóch lat, jeśli kto ciekaw.

Pasierb oczywiście nie zamierzał się bynajmniej podniecać czy doszkolić przy pomocy tej darowizny. Ładował do toreb cale jej partie i wywoził na jarmarki i bazyry. Raz czy drugi może by mu się udało. Ale naiwny jest ten kto sądzi, że można uprawiać w tych miejscach jakiś zakazany proceder regularnie i to tygodniami.

KONRAD LESKI

cyklem zbeletyzowanych biografii wybitnych ludzi („Pasja życia” o Van Gogh, „Zeglarz na koniu” o Jacku Londonie, „Udręka i ekstaza” o Michałku Aniele, „W imieniu obywateli” o Clarence Darwowie, „Pasja utajona o Zygmuncie Freudzie) — z wielką prostotą i szczerością przynajmniej do swego białostockiego pochodzenia dając przy okazji wyraz swojej znajomości geografii i historii kraju ojca.

Dr Leszczyński zamyka na chwilę „Księgę” by zadać mi pytanie: Czy wiesz kim była ROSA RAISA? Niestety, nie wiem. Okazuje się, że nie ja jedna. W rodzinnym kraju prawie nikt nie pamięta o Rosie Raizie przed wojną jako śpiewaczce operowej wielkiej sukcesy głównej na scenach włoskich i amerykańskich. Rosa Raisa (Rosa Bursztejn) urodziła się w Białymstoku 30 maja 1893 roku w rodzinie Hersza Bursztejna. Bardzo uzdolniona muzycznie wykształciła się we Włoszech i w 1913 roku zadebiutowała w Paryżu. To dla niej Giacomo Puccini napisał arie do oper „Turandot” i ona właśnie w 1929 roku była pierwszą wykonawcą głównej roli w tej operze w La Scali. Zmarła w Los Angeles w 1969 roku.

Białostocki rodowód — dodaje pani Janina (również



Nora Ney, której dzieciństwo upłynęło w Białymstoku u domu przy dawnej ul. Wersalskiej (dziś Akademicka) była znaną przedwojenną aktorką filmową. Grała m.in. w filmach „Zemsta”, „Droga życia”, „Człowiek pustyni”. Jakże były jej dalsze losy? Repr. z ZAREMBA

rodowita białostoczanica), żona dr Leszczyńskiego — posiada także znaną przedwojenną aktorkę filmową NORĘ NEY (SONIA NEYMAN), której dzieciństwo upłynęło w domu przy ul. Wersalskiej (dziś Akademicka).

ROOT I POWROTY

Powroty są teraz w modzie, ale ta moda nie jest zjawis-

kiem powierzchownym. Dotarcie do źródeł własnego rodowodu stało się punktem honoru wielu grup narodowościowych na całym świecie. Root — owe korzenie stały się symbolem naszych czasów. Nie tylko Żydów przecież.

Dr Leszczyński uważa, że w ostatnim czasie przyjazdy do rodzinnego kraju stały się częstsze i jakby bardziej serdeczne. Oto np. gdy w Warszawie obradował międzynarodowy kongres o języku hebrajskim i kulturze, jeden z jego uczestników, syn białostoczanina NATAN HARPAC wyraził chęć odwiedzenia Białegostoku. Pamiętał bowiem z opowiadań ojca, że dom rodzinny znajdował się przy ul. Ciepłej 5. Dr Leszczyński towarzyszył mu w podróży. W jakich kategoriach można opisać wruszenie dorosłego mężczyzny, który chodził po schodach tego domu, dotyka drzwi...

Inny przykład: młody lekarz-neurolog z USA zjawia się u dr Leszczyńskiego, jako znawcy przedmiotu z listami swego dziadka i chęcią do-wiedzenia się czy nie ma gdzieś w aktach jego nazwiska. Potem jedzie do Białegostoku i wraca szczęśliwy, że coś wyszperał. Pozostawia oczywiście listy i pocztówki, wysyłane z Białegostoku w

różne strony świata nawet jeszcze przed I wojną światową. Są one teraz już cennym materiałem historycznym.

Powrotu do miejsca swego urodzenia zapragnął także rabin KIRSZENBLUM. Wiele już lat minęło od czasu gdy opuścił rodzinne strony, to też wiedział tylko, że urodził się koło „Poleskowsko w kaza”, pamiętał „gorodski sad” i pytał o „izwoszczikow”.

Inny Żyd rodem z Białegostoku szukał gdzieś w końcu ulicy Sienkiewicza podwórze, gdzie kiedyś rosły winnice... Dr Anatol Leszczyński, który badania nad historią białostockich Żydów przeprowadza z wielką pasją i emocjonalnym zaangażowaniem opowiada mi też o własnym wruszeniu. Oto w Muzeum Diaspory w Tel Awiwie oglądał film dokumentalny o życiu Żydów w przedwojennym Białymstoku. Nakreślił go przypuszczalnie jakiś amerykański dziennikarz.

A więc: Ratusz, wąskie uliczki, nie istniejące już typy Żydów. Wszystko to było niedziałną częścią białostockiego folkloru.

LUDEKA CHALECKA-POŁOCKA



Kolejna wystawa, przygotowana na sezon letni w Muzeum w Tykocinie, poświęcona jest tradycji rodzinnej mieszkańców tego małego miasteczka o bogatej, historycznej przeszłości. Na światło dzienne wydobyte zostały domowe archiwa tutejszych mieszczan, kryjące wiele tajemnic z życia ich dziadków i pradziadków, przez stulecia skrzętnie przechowywane w skrzyniach i kufcach w komorze lub na strychu. Te zapomniane nieraz i zdawać by się mogło, nikomu niepotrzebne wybitki fotograficzne, zapiski, listy, dokumenty notarialne i sądowe, stare weksle bankowe, kwity, księżeczki czekowe, paszporty i legitymacje, listy i pocztówki, medale, odznaczenia i inne drobne pamiątki tworzą ciekawy wizerunek małomiasteczkowych rodzin, w których biografii, dobrych i złych, jak w wiernym zwierciadle odbijają się losy Ojczyzny i całego narodu.

Żył więc w tradycji tykocińskich echa Powstania Styczniowego. Rodzina SŁONICKICH i CHOŃSKICH przechowywała ustne podanie o pradziadku, kowalu DZIENISZEWSKIM z ŁOPUCHOWA, który poległ w walce pod Meżeniną, a jego żona z dziećmi, pozabawiona przez rząd carski całego majątku, musiała szukać pomocy i schronienia w krewnych w Tykocinie. Jeden z przedstawicieli rodziny WNOROWSKICH, bliski spokrewnionej z rodziną organizatorów tykocińskich, KACKICH, za udział w powstaniu został zesłany na Sybir. W albumie domowym znajduje się jego fotografia z końca XIX wieku.

Bogate odzwierciedlenie w zawartości rodzinnych archiwów znalazła i wojna światowa i działalność niepodległościową Polaków w tym okresie. Wśród licznych pamiątek związanych z DR. ANTONIM BOHDANOWICZEM, zachowały się dokumenty odnoszące się do jego walk w Armii Polskiej gen. Hallera we Francji, gdzie pełnił funkcję Naczelnego Lekacza Centralnej Stacji Zbrojnej oraz ze służby w Okręgu Szpitala Wojskowego w Krakowie w 1920 r.

Piękną pamiątką jest panoramiczna fotografia uczestników zjazdu byłych żołnierzy gen. Hallera w Stanach Zjednoczonych, w latach 20-tych XX w., na której został m.in. uwieczniony AUGUSTYN SŁONICKI, emigrant z Tykocina.

Cenny dokument stanowi kartka pocztowa, wydana we Francji, z wizerunkiem orla piastowskiego i napisem „Vive la Pologne”, zawierająca korespondencję ZYGUNTA AUGUSTYNOWICZA, którego losy wojenne rzuciły do Francji. W liście datowanym 18.09.1917 r. pisze on m. in. o formowaniu się tam armii polskiej i o nastrojach jakie panują wśród Polaków w Rosji, spodziewających się szybkiego przejścia do oddziałów polskich we Francji.

Są tu także fotografie odznaczenia działaczy POW, a wśród nich Medal Niepodległości wraz z dyplomem.

WA JASIŃSKIM, oficera w wojsku rosyjskim.

Wśród interesujących pamiątek po WŁADYSŁAWIE MALISZEWSKIM, działaczu niepodległościowym, komendancie POW na miasto Tykocin, uczestniku obrony Wizny w 1939 r., który jako członek 14 Baonu Strzelców 2 Korpusu Polskiego przeszedł cały szlak bojowy armii gen. Andersa, zachowały się liczne ordery i medale m. in. „Krzyż Pamiątkowy Monte Cassino”, „Gwiazda za wojnę 1939—1945”, „Gwiazda Italii” oraz małe srebrne medale, który wręczyła mu żona, gdy we wrześniu 1939 r. odchodził na wojnę.

Okupację niosącą nie tylko heroiczne wydarzenia, ale przede wszystkim utrapienia i troski, ukazują dokumenty w postaci urzędowych skarg, protokołów szacujących zniszczenia wojenne, kwity odcieczki, a także fotografie, odznaczenia działaczy POW, a wśród nich Medal Niepodległości wraz z dyplomem.

Galeria rodzinnych pamiątek

korowanym kościołem pionkowskim w 1913 r.

Ciekawe powiązania miała rodzina BOHDANOWICZÓW, której syn — ANTONI, znany na przełomie XIX i XX w. lekarz w uzdrowiskach francuskich w Nicei i Biarritz, poślubił wybitną polską artystkę — ANNE BILINSKĄ. Dr Antoni Bohdanowicz jest autorem monografii poświęconej sławnej żonie, wydanej własnym nakładem w 1923 r. w Warszawie, a w rodzinnym archiwum zachował się notatnik Bilińskiej z jej odręcznymi zapisami z lat 1883—1892.

Przeważająca jednak większość pamiątek rodzinnych mieszkańców Tykocina ukazuje zwyczajne, codzienne życie małomiasteczkowego społeczeństwa. Jest to życie rolniczych mieszczan: TOMASZA i KATARZYNY RAKOWICZÓW, kupujących w 1833 r. plac z ogrodem i „cwiartką” pola w granicach Tykocina; EWI i JÓZEFA WALCZEWSKICH oraz MACIEJA i MARYJANNY PILISÓW, toczących w 1844 r. spór o lake Bystrą na Narwi; JÓZEFA MOCARSKIEGO sumiennie placącego w latach 1833—1847 podatki w Kasie Miejskiej oraz przedstawicieli rodzin PISARSKICH, WYSOCKICH, OSTROWSKICH, ARACEWICZÓW, MILLERÓW, NEYMANÓW, KUROWSKICH, KAPICÓW, MOJSÓW, BACIKIÓW i wielu innych, po życiu i pracy których pozostały jedynie nikielne ślady w postaci pożytków papierów sądowych i urzędowych zaświadczeń.

Ze starych fotografii spoglądają dawni mieszkańcy miasteczka, o twarzach pełnych godności i spokoju, jakby dając świadectwo własnej wartości i sensu swojego życia. Wymowa ma, z pozoru zwyczajna i banalna fotografia z pogrzebu FRANCISZKA CHOŃSKIEGO, gdzie cała wielopokoleniowa rodzina pozuje do zdjęcia, otaczając ciałem zmarłego otwartą trumnę. Zmarłego dziadka przed drzwiami domu, który sam zbudował Z majestatycznej prawie postaci zmarłego, ze stroskanych twarzy jego żony, synów, córek i wnuków, płynie żółta, ponurącaś mroźność, której wyrazem jest trwanie tradycji — żywej wartości nadającej sens życiu każdej pojedynczej rodziny.

EWA WROCZYŃSKA

Kapela na trzy „es” entuzjazm i gitarę

Dwa tygodnie temu — w sobotę — TV w programie 2 nadała cykl program pt. „Hi-fi” tym razem poświęcony w całości muzyce country. Prowadził go sam pan Mann. Wojciech zresztą. Na szczęście tym razem ograniczył się do zapowiedzi, że oto wystąpi TOMASZ SZWED i jego goście. Nawiąsem mówiąc było ich dwoje, ale o tym potem. Następnie znany prezenter dorzucił jeszcze kurtuzyjne zaproszenie do Mragowa na „Piknik Country” który trwać będzie od 1 do 4 sierpnia i zamknie. Bardzo dobrze się stało, bowiem muzyka była o wiele ciekawsza od anonsu — nawet tak znakomitego konferansjera.

W łec co? — Wszystkie drogi prowadzą do Mragowa? A jakież tam będą gwiazdy! I stąd i stamtąd przyjeżdża. Stąd — Majka Jezowska i Krystyna Prońko — ostatnio polskich country super duet. Stamtąd — „Head Over Heels”, „Rattlesnake Annie”, „George Sandifer Mississippi Band”, „Kentucky” i paru pomniejszych.

A najciekawsze jest to, że wśród tylu znakomitości będą też NASI. Tak — NASI — z Białegostoku! Bo my też mamy muzyków, aha! Tyko kto o tym wie? O, w Warszawie wiedzą, że mamy, w Olsztynie, w Krakowie. W Ostrołęce pewnie też.

Znaczą „Underground group” w Białymstoku? Kto, wie, skoro nikt u nas ich nie zna? Dlaczego? Zdać się na prostotę, że nie chce znać. Bo to zaraz jakieś koszty i sprzęt trzeba by kupić, i salę na próby załatwić, nawet plakaty zamówić — co gorsze — rozwinąć. A tak — cisza — jaka kapela? Co za kapela? Nie ma kapeli i spokój!

Bo w naszym pięknym Białymstoku spokój cenili się przede wszystkim. Właściwie to bardzo dobrze. A że ktoś, na przykład mieszkaniec — ci szarzy — na tym być może traci...

Przykłady można by mnożyć. Zaczyna się od kultury wśród studentów. „Underground group”, o której tu mowa nazywa się „Mr. Olek Country Band” i zaczynała w Akademickim Centrum Kultury „Sepulchrum”. Dawno to było. Potem kapela się rozpada i zamienia w „Antykwarium”. Ten zespół spotkało to samo. Ale pozostały plakaty i trzeba było „Mr. Olka...”, „reanimować”. Nowi zapalczywi powrócili do starej nazwy, a na-



Country underground?

stepnie rozstali się definitywnie z ACK.

Alęz dlaczego? Dyć tak im tam było kiedyś dobrze...

A dlatego pewnie, że im się wydawało, iż ich — zadaniem jest grać, a nie biegać po mieście w poszukiwaniu specjalnie wyznaczonego aktywności — który ma akurat klucz do kancipaty, ze sprzętem.

Potem zresztą w ACK był długi remont i zespół trafił do „Herkulessów”. Tu okazało się, że dogadać się można. Brakowało jedynie... mikrofonów. Mała rzecz, a cieszyła by — niewątpliwie. Trudność bowiem polega na tym, że przed każdym koncertem muzycy — śpiewający zresztą — muszą się od nowa do mikrofonów przyzwyczajać, a jak wiadomo bez techniki się dzisiaj nikt nie obejdzie.

Co jest więc potrzebne, a ściślej kto? Ano opiekun zwany z obca — sponsorem. Tyko nikt się jakoś nie kwapi do pomocy. Bo my proszę pana robimy w kulturze kulturową, a nie jakieś tam country. Ot co!

Teraz będzie o sukcesach. Rok temu na „Country w Stodołę” — pierwsze miejsce. Potem Mragowa. W tym roku na tych samych spotkaniach — wyróżnienie i znów wyjazd na „Piknik Country”. Do tego w specjalistycznym biuletynie Stowarzyszenia Mu-

zyki Ludowej Country w „Mr. Olek Country Band” śpiewa najlepsza wokalistka tego typu muzyki w Polsce. Znamy ją, znamy, a zwłaszcza dzieci. To Bożena Hutnik — śpiewająca brylująca Alicja w kramie czarów. Jej występ we wspomnianym na początku programie „Hi-fi”, choć ponoć mogła zaśpiewać lepiej, był akurat jedną z lepszych propozycji.

Co z nią będzie dalej? Pewnie „da dyla”. Ucieknie tam, gdzie umożliwi jej kształcenie głosu, dadzą jakieś stypendium, dopuszczą w końcu do mikrofonu i to nie od święta. Co będzie z kapelą? Tak — kapela będzie się rozwijać. Underground, czyli za własne skromne środki za lat 10, może nieco wcześniej zgromadzi sprzęt, załatwi salę, wynajmie (dziś jedynie dwa siedemset za godzinę plus realizator) studio nagraniowe i... będzie stawiała imię — no właśnie — czyje? Pewnie swego rodzinnego miasta, które tyle jej pomogło. Potem jeszcze znajdzie (za żywą gotówkę oczywiście) choreografa i paru innych fachmistrzów i w ogóle będzie klawo!

Mamy w Białymstoku dwa renomowane już zespoły muzyczne — „Kupie Zielone” i Chór F.U.W. Od kilku ładnych lat wciąż dobrze się zapowiada „5 tysięcy złotych”. I wystarczy, po co nam więcej? Inni mogą sobie poszukiwać szczęścia gdzie indziej. A póki co zapraszamy do Mragowa. Kapela warto posuchać.

PAT
(repr. M. Olkowski)

Raj dla melomanów

Kiedy w sobotnim numerze „Gazety” zapowiadalem „uczę melomanów” z okazji koncertów znakomitego wirtuoza altówki Stefana Kamasy w Giżycku. Praniu i Suwałkach — wiara w oparta była przede wszystkim na podstawie jego dotychczasowych sukcesów i rozgłosu zyskanego w wielu światowych salach koncertowych. Przewidywania potwierdziły się. To była wspaniała muzyka na żywo, jest aż tak piękna. Nie wiedzieliśmy, że jest to nieporównywalne, o wiele piękniejsze od tego, co się słyszy w radiu czy telewizji.

I aż żal pisać o tym, że wszyscy ci artyści, którzy z taką wielką powagą i szacun-

kiem traktują swoich słuchaczy, mają ciągle ich — twierdząc tak przede wszystkim na podstawie koncertów w Suwałkach — zbyt mało. Żal to tym większy że wszyscy, którzy byli, również ci, którzy trafili na koncert trochę przypadkowo, wychodzą z pełną nieklamanością zachwytu. — „Nie zdawaliśmy sobie dotychczas sprawy — usłyszałem, — że tak zwana poważna muzyka, słuchana na żywo, jest aż tak piękna. Nie wiedzieliśmy, że jest to nieporównywalne, o wiele piękniejsze od tego, co się słyszy w radiu czy telewizji”.

Scenografia Dziesięć lat na jednej wystawie

W białostockim Biurze Wystaw Artystycznych obejrzeć można wystawę scenografii, którą JÓZEF GNIAŁKOWSKI projektował w latach 1946—1956 dla Teatru im. Aleksandra Węgierki.

Jest to replika ekspozycji prezentowanej w ramach obchodów czterdziestolecia sceny białostockiej w roku 1984. Foyer i „Wogierki” jest niewątpliwie miejscem urokliwym, ale dostepnym tylko publiczności oglądającej spektakle. Stąd pomysły powtórzenia wystawy w szerzej otwartych salach BWA wydaje się trafny. Józef Gniałkowski obok takich osób jak Witold Różycki czy Edward Łaskowski, wypełnił niebagatelną część historii białostockiego teatru. Należy podkreślić, iż działalność w okresie, kiedy na scenie tej występowało szereg wybitnych aktorów i reżyserów: Warnecki, Kestowicz, Czarska, Stepowski, Górka-Damiecka i inni.

Gniałkowski należy do grona nestorów białostockiego środowiska plastycznego. Urodził się w 1904 r., studiował w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych u takich mistrzów jak Tadeusz Pruski czy Leon Wyczółkowski. Przez dwa lata związał się z Białostockiem, właściwie nigdy się nie specjalizował w scenografii. Zresztą w czasie jego studiów ta sztuka nie była w Polsce wyodrębniona. Jej usamodzielnienie nastąpiło dużo później, kiedy to stała się zbieraniem dzieł plastycznych współpracujących z reżyserem nad spektaklem. Uczyła swój odrębny status i wyzwała na uczelnian.

Podobnie jak inni dyscypliny te przedchodzący rozwój historyczny. W nowoczesnej scenografii najistotniejsze jest chyba nie tylko Adolphe Appia i twórczy polski podwaliny współczesnego myślenia o scenie. Ślusnie określa się go mianem człowieka, który „zastał scenę malowaną, a zostawił budowaną”.

Dziesięć lat twórczości scenograficznej Gniałkowskiego przebiegała w dwóch okresach: w rozwoju całej plastyki polskiej. Powojenna swoboda i wieloletnie w ramach w pierwszych latach rękawice w pierwszych latach rękawice, choć nie zawsze. Józef Gniałkowski pracował właśnie w tych dwu dziełach etapach.

Nie sposób wymienić wszystkich realizacji komentowanych w podpisach pod poszczególnymi próbkami. Reprezentował dwa sposoby traktowania sceny. Pierwszy — architektoniczny, gdy scena zostaje zabudowana makieta wnętrza wraz z wyposażeniem (ujmowany naturalnie, stycznie, bądź bardziej skrótnie, umownie). Wielokrotnie artysta musiał opierać się na realiach epoki, w której przebiega akcja utworu scenicznego, oddając je zarówno w detalach architektonicznych jak i kostiumach czy rekwizytach. Im bardziej posuwał się lata pięćdziesiąte, tym bardziej projekty Gniałkowskiego stawały się naturalistyczne, „prawdziwe”, dziś mogą wydawać się anachroniczne, wówczas jednak ich stylizacja była uwarunkowana obowiązującą doktryną.

Inna metoda tworzenia scenografii, którą artysta określa mianem „abstrakcyjnej”, polegała na wprowadzeniu elementów umownych, symbolizujących. Rzeczywistość zasugerowana takimi akcentami miała kształtować się dopiero w wyobraźni widza. Z perspektywy czasu, oglądana dziś ta koncepcja wydaje się nam bliższa, bardziej aktualna, nowocześniejsza.

Każda ekspozycja odosobnionych projektów scenograficznych, sprawia wrażenie nieco zabójczej, trochę zakurzonych, może nawet martwej. Należy jednak pamiętać, że wszystko co prezentuje się na swojej wystawie Józef Gniałkowski pozabawione jest scenicznego światła, skali, aktorów i widowni. A scenografia to „dzieło sztuki żywej” jak pisał Appia.

JERZY A. HERMANOWICZ

Z rzeźbiarskiego pleneru

28 lipca przewidziano zakończenie XV Ogólnopolskiego Pleneru Rzeźby „Hajnowka 85” — trwającego od początku miesiąca. Spotkania rzeźbiarzy. Tym razem uczestniczyło w nim trzynastu twórców z różnych stron kraju — Krakowa, Poznania,

Rzeszowa, Szczawna, Nowego Sącza, Łomży i oczywiście Białegostoku. Organizatorzy — Ministerstwo Kultury i Sztuki, Wydział Kultury i Sztuki UW i Biuro Wystaw Artystycznych w Białymstoku założyli w przeciwnieństwie do koncepcji z lat po-

przednich, tworzenie rzeźb o charakterze kameralnym. Tegoroczna wystawa robocza usytuowana w Hajnowskim Domu Kultury. Sądzę, że słusznie, gdyż plener na stałe wpisał się w kulturalny pejzaż miasta, choć w ostatnich latach jego przygotowywanie nie było wcale łatwe.

Należy życzyć artystom aby jak najprędzej powrócili do dawnych, dobrych tradycji: spotkań przyżyciowych, owocujących w ciekawe pomysły artystyczne, znaczące na krajowej arenie. Po ekspozycji w Hajnowce wystawa zostanie przeniesiona do białostockich salonów Biura Wystaw Artystycznych. Wówczas będzie okazją do szerszej oceny artystycznego dorobku tegorocznego pleneru. Na zdjęciach prezentujemy rzeźby z poprzednich plenerów.

(jah)



„Plomien” Wojciecha Zaleskiego. Fot. HENRYK ROGOZIŃSKI

W 75 rocznicę śmierci E. Orzeszkowej

18 maja b.r. minęło 75 lat od śmierci naszej znanej powieściopisarki, nowelistki i publicystki — ELIZY ORZESKOWEJ. Z tej okazji chcemy przypomnieć wiersz, jakie lazuły autorkę „Nad Niemnem” z naszym regionem, a konkretnie z Białowiężą i Puszcza Białowieską.

E. Orzeszkowa odwiedziła Białowięż kilkakrotnie. Po raz pierwszy zawiązała tutaj w sierpniu 1898 r. r. Zatrzymała się wówczas w domu Kazimierza i Klemensa Kruszkowskich, którzy uczęszczali pisarce gościnnie również podczas następnych pobytów. Kazimiera (z d. Ostromecka) była jej serdeczną przyjaciółką. Małż. z wykształcenia inżynier-leśnik, pracował w Białowięży (w l. 1894—1901) w charakterze pomocnika zarządzającego Puszcza. Orzeszkowa bawiła w Puszczy około miesiąca. Nie zważając na deszczową aurę robiła intensywne wycieczki — pieszo i na furmance. Często nocowała w chłopskich chatkach we wsiach zamieszkałych przez Mazurów, sprowadzonych do Puszczy przez A. Tyzenhauza. Nieradko chłopcy byli jej przewodnikami po leśnych ostępach. W liście do M. Konopnickiej (z którą zaprzyjaźniła się jeszcze w latach dziewięćdziesiątych na pensji sakramentek w Warszawie) pisanym 5 września 1898 r. w Grodnie — Orzeszkowa donosi, iż zwiedziła m.in.

wzgórza, na którym robił namioty myśliwski Stefan Batory, była też w uroczysku Zamczysko, gdzie widziała „mogily, z których niedawno wydobyto broń i łownice Jacwiniów”. Na pewno miła była dla pisarki także wizyta u niej znanego filozofa i filologa, prof. Wincentego Lutosławskiego (1863—1954). Prof. Lutosławski dowiedział się o niej w Grodnie, że Orzeszkowa przebywała w Białowięży, specjalnie przyjechał do Puszczy, aby spotkać się z uwielbianą autorką i tym samym złożyć hołd jej twórczości. Zastał ją w Budach, gdzie odbył długą rozmowę na tematy literacko-filozoficzne.

Pierwszy pobyt Orzeszkowej w Puszczy Białowieskiej dostarczył jej dużo niezapomnianych wrażeń. Miła atmosfera domu państwa Kruszkowskich i urok dziewięciu lasu niewątpliwie pozwoliły pisarce oderwać się od codziennych kłopotów i świeżej jeszcze pamięci o zmarłym niecałe dwa lata wstecz drugim mężu, Stanisławie Nahorskim. Zamiary pisarskie, które pojawiły się u Orzeszkowej w trakcie tego pobytu skrytykowały się nieco później. We wspomnianym już liście do Konopnickiej narzekała, że ma „mało sił fizycznych”, „nerwy zbuntowane” i „bólą ją bardzo ręce”. Dwie kolejne wizyty w Białowięży Orzeszkowa składała w 1899 i 1900 r. Spędzała tutaj święta wielkanocne. W 1900 r. była tylko

trzy dni. Towarzyszyła jej Maria z Siemaszków Obrebska, powiernica i lektorka pisarki. W liście do Konopnickiej, pisanym 28 kwietnia 1900 r. w Grodnie Orzeszkowa tak charakteryzuje swój trzeci pobyt w Puszczy: „Pogoda nieszczęśliwa, przeskądzała, niemniej dwa razy byłam po kilka godzin w lesie, widziałam bociany, kwitnące sasanki i trojanki, różowe paki na brzozech, zieloną jemiolo na dębach (evenement!) — dop. P.B.) jeszcze nagich, słyszałam skowronki i drożdzy, przytuliałam się na chwilę do łona natury i do serc ludzi bardzo dobrych, bardzo zacnych, bardzo miłych”.

Białowieskie natchnienia

Zamiary pisarskie, podjęte przez Orzeszkową w czasie pierwszego pobytu w Białowięży, zaczęły nabierać rumieńców po podroży autorki „Marty” do Świątoli latem 1899 r. Orzeszkowa spotkała się tutaj z zoologiem, filozofem i literatem, Tadeuszem Garbowskim (1869—1940). W wyniku dyskusji postanowili napisać wspólnie większy utwór powieściowy w formie dwugłosu. „Ad Astra” wyszło drukiem w 1904 r., przy czym T. Garbowski posłużył się pseudonimem Juliusza Romskiego.

Pisarka, w trakcie tworzenia swojej części do „Ad Astra”, często odwiedzała Białowięż. Tutaj też powstała niektóre partie tego utworu. Znamy jest list do Konopnickiej, który Orzeszkowa napisała 17 wrześ-

nia 1900 r. właśnie podczas pobytu w Białowięży. Czytamy w nim m.in. „cieszę się tam miejscem, które ma urok dziwny. Drzewa wskutek upałów i posuch mało zabarwiają się w tym roku, jednak trzmieliny stoją całe w różowych, a jarzyny w czerwonych koralach, brzozy przeciągają żółte smugi po ciemnych świerkach, w Narewie duża białkita jak roztopione turkusy. Wzgorza w lesie drogi przebiegają nam sarny, a pomiędzy drzewami opary wyciągają się jak wysmukłe, białe, chwiejące się widmo. Powieść nie-powieść na tle tem nieco postąpiła, ale do końca jej tak jeszcze daleko, że przypuszczam, iż sama skończy się pierwsi, niż ją skończy”.

Po raz ostatni do Białowięży powieściopisarka przyjechała jesienią 1901 r. Chętnie przebywała w pięknym parku pałacowym, a przylgając się pałacowi carskiemu zastanawiała się: „Coby należało zorganizować w tym wielkim, a tak mało użytecznym gmachu, kiedy Polska odzyska niepodległość?”. Po tych pobytach pozostały nam piękne opisy przedniej puszczanki przyrody i kilka legend zasłyszanych przez współautorkę „Ad Astra” od mieszkańców Puszczy.

Warto wspomnieć, iż w Białowięży mieszkała 94-letnia Olga Smokutówna, która podczas nauki w szkole akuszersko-felcerskiej w Grodnie uczestniczyła — pomimo oficjalnego zakazu wydanego przez policję dla młodzieży szkolnej — w pogrzebie Elizy Orzeszkowej, który odbył się 23 maja 1910 r. Nasza wybitna pisarka spoczęła na cmentarzu grodzienkim we wspólnym grobie ze swym drugim mężem, S. Nahorskim.

PIOTR BAJKO

Fortuna za rękopis de Gaulle'a

Na licytacji w paryskim domu aukcji, Hotel Drouot, duże zainteresowanie wywołał rękopis przemówienia, które przywódcą Wolnej Francji, gen. Charles de Gaulle wygłosił w 1941 r. na uniwersytecie w Oksfordzie. Tekst ten stanowiłby szkic wystąpienia prześladowany „poprawkami” wstawkami i skreśleniami,

został sprzedany za blisko czterech milionów franków (ok. 27 tys. dolarów). Nabywcą jest Muzeum Wyzwolenia, gromadzące pamiątki od czasów podjęcia przez garstkę Wolnych Francuzów na terenie Wielkiej Brytanii walki przeciwko Niemcom hitlerowskim i kolaboranckiemu rządowi Vichy.

(P)



„Życia-początek” — praca autorstwa Albina Sokolowskiego. Fot. STEFAN RUTKOWSKI

Magazyn Gazety Współczesnej

Nowi odkrywcy starych prawd

Poszedł w świat wieści o odkryciu jakiegoś doko-
nał archeologowie z
amerykańskiego Uniwersytetu
w Colorado. Mianowicie, w
regionie Gran Pajaten, we
wschodniej części peruwiań-
skiego masywu San Martin,
„odkryli” oni starożytne mia-
sto w dżungli na wysokości
2600 m n.p.m.

Wszystko byłoby bardzo
pięknie, gdyby nie to, że by-
ło ono znane od ponad dwu-
dziestu lat! Co więcej, wymie-
niane jest w przewodnikach
po regionie Gran Pajaten, tu-
rystom udziela się wskazów-
ka, że wyprawa do miasta
trwa kilka godzin młami wy-
najętymi w pobliskim mia-
steczku Nazareth. Miasto figu-
ruje również w światowym
atlasie archeologicznym, au-
torstwa Davida i Ruth White-
house'ów wydanych w Paryżu
w 1975 roku przez wydawnic-
two „Tallandier”!

A jednak dr Tom Lennon
z Uniwersytetu w Colorado
ogłosił „odkrycie” i rozreka-
mował je w prasie. Jeden z
najpoważniejszych Europej-
skich miesięczników popular-
nonaukowych „Science et vie”

nie omieszczał „pogratulować”
doktorowi i przyznał mu „pal-
mę plerwenzystwa”.

Również miss Jane Wheeler,
z tegoż uniwersytetu dała po-
pis nieoczekiwanej erudycji na
łamach „The New York Ti-
mes”. Napisała ona: „Jesteś-
my zaintrygowani występowan-
iem tak intensywnego osad-
nictwa tak wysoko, w dżun-
gli, ponieważ nigdzie indziej
na świecie osadnictwo w po-
dobnych miejscach nie wystę-
puje”.

Swoją „popis” erudycyjną
„odkrywcy” zakończyli moc-
nym akordem, ogłosili bo-
wiem, że odkrywszy miasto
— odkryli tym samym niezna-
ną kulturę Preinkaska...

Litości! Imperium Inków
było jednym z najkrócej ist-
niejących na świecie, trwało
od czasów panowania Chacha-
cuti (1438 rok) do czasów To-
pa Inca (1493 rok). Central-
nym ośrodkiem władzy i ad-
ministracji było miasto Cuzco.
Przed tym politycznym im-
perium na terenie dzisiejsze-
go Peru rozwinęło się wiele
kultur: przede wszystkim Ke-
czua, ale także Ynkaczu, Szun-
kuy, Jemilli, Chunchu, Oma-
gua — a różnice między ni-
mi, tak naprawdę, były ro-
dzaju etnicznego, a jeszcze
bardziej plemiennego, nie zaś
kulturowego, cywilizacyjnego.
Łatwo to zrozumieć, jeśli u-
świadomimy sobie, że np. RFN
i Austria różnią się, lecz nie
na tyle, by mówić, iż należą
do różnych cywilizacji — prze-
ciwnie, jak najbardziej należą
do jednej cywilizacji i konia
z rżędem temu, kto zrzuci-
ny ze spadochronem odgadnie
gdzie wyładował.

Ala czy „uczeni” z Colora-
do wiedzą co to Austria?...
(Om)

Brak konserwatorów

Kierownicy placówek muzeal-
nych Republiki Federalnej alar-
mują: w muzeach brak jest do-
statecznej ilości wysoko wykwa-
lifkowanych specjalistów z zakre-
su konserwacji i dzieła o ogrom-
nej wartości historycznej i arty-
stycznej ulegają zniszczeniu po-
przez niefachowców. Sytuacja w
tej dziedzinie — jak stwierdza
Stowarzyszenie Muzeów Westfali
w Monasterze — stała się wręcz
dramatyczna. Stowarzyszenie po-
stuluje rozwinięcie kształcenia
kadr konserwatorów zabytków w
wyższych uczelniach artystycznych
RFN. (AP, PAF)

HOROSKOP & przymrużeniem oka

BARAN 21.03. 20.04.	Tydzień pełen ważnych wydarzeń, tylko nie zapominaj o zachowaniu spokoju. Wiadomości na szczęście otrzymywane w porę może posłużyć do zastanowienia, przeanalizowania przebiegu inicy- jatywy. W starcie uczuć burzliwie, ale z prze- byskami słońca. Zdrowie i finanse w normie.
BYK 21.04. 21.05.	Marnotrawisz swoje siły i energię na sprawy marginesowe, zapominając o konkretnym zia- łaniu. Lekceważenie pracy i otoczenia nie przysporzy ci sympatyków. W sprawach ser- cowych chwilowy rozjem z partnerem. Dobre finanse, ale nie należy stawiać je nad wszyst- kim.
BLIŹNIĘTA 22.05. 21.06.	Okres wyjątkowej pracy, musisz zdobyć się na lepszą jej organizację, by nie zagubić się w działaniach. Możliwa atrakcyjna podróż i prze- lotny flirt. Układy rodzinne bez zmian. Wiado- mość, na którą czekasz w pełni ci sadowoli. Niewykluczone dodatkowe dochody.
RAK 22.06. 22.07.	Beztróski i pogodny tydzień. Możliwość wypo- czynek i odpoczynku w innym gronie. Nowe znajomości i sporty wrażeń. W sercu ciagle maj. Zdrowie, humor i finanse niezawodne. Zawsze możesz liczyć na Barana.
LEW 23.07. 22.08.	Sprawa, która leży ci na sercu przybiera po- zywny kierunek. Informacje znajdują potwier- dzenie w faktach. W pracy okres spokojniej- szy i niezbyt uciążliwy. W sprawach osobi- stych zapowiedź zmian. Czy będą korzystne? To już zależy od ciebie.
PANNA 23.08. 22.09.	Sprawa, na której tak ci zależy przybiera real- ny kształt. Ryzyko niewielkie i tylko wyją- kowo korzystny rozwój wydarzeń mógłby ci przeszkodzić. Dobre stosunki i porozumienie z partnerem dodadzą ci skrzydeł w działaniach.
WAGA 23.09. 22.10.	Tydzień wreszcie bardziej relaksowy. Na ho- ryzontie nowa, interesująca znajomość, co nie wyklucza jednak rozczarowania, więc nie trak- tuj jej zbyt serio. Warto chyba wrócić do sta- rej przyjaźni. Zdrowie i finanse pomyślne.
SKORPION 23.10. 22.11.	Trochę zwariowany tydzień. W pracy nerwo- we i uciążliwe zajęcia i dodatkowe obciążenia. W domu zamieszanie i przygotowania urlopo- we. Marzysz o wyjeździe i odrobinie spokoju. Niewykluczone przyjazd gości. Nerwy słabe, fi- nanse dobre.
STRZELEC 23.11. 21.12.	Mimo drobnych przeciwności losu, humor i do- bre samopoczucie nie opuszcza cię, ponieważ twoje marzenie nabiera realnego kształtu. Kon- flikty domowe powoli zanikają i wszystko wraca do normy. Poprawa materialna niewyklu- czona.
KOZIOROŻEC 22.12. 20.01.	Udany i sympatyczny tydzień. W kręgu sa- mowolnym interesująca wiadomość i zaintry- gujące trudnych spraw poprawia samopoczucie. Przypadkowe spotkanie zaplanowanej już osoby sprawi ci niespodziewaną radość i pobudzi fantazję. Lepšie zdrowie i finanse.
WODNIK 21.01. 20.02.	W pracy sprężenie zajęć (okres urlopów), ale poradziła sobie śpiewając, ponieważ możesz liczyć na dopływ energii i chęć działania. W życiu prywatnym spory ruch, odwiedziny, wi- zyty itp. W sprawach serca, zaskoczenie. Zdro- wie i finanse dobre.
RYBY 21.02. 20.03.	Tydzień udany i relaksowy. Dla niektórych wyjazd i liczne przygody, dla innych przyjem- ności i radości życia domowego. Dla wszystkich pogoda, spacer, odpoczynek i miłe wakacyj- ne znajomości. Odczuwalna poprawa finansowa.

Ptasie osiedla

Stepowe obszary Afryki za-
mieszkują ptaki z rodziny wika-
czy, zwane tkaczami. Ptaki te,
wielkości naszego szpaka, budują
wielkie wspólne gniazda ze słomy
i patyków, mogące pomieścić
blisko sto indywidualnych gniazd.
Tkacze są niezwykle towarzyskie,
zawsze przebywają w gromadzie
i razem żerują. Konstrukcja wiel-
kich, widocznych z dalszej od-
łości gniazd przemawia za tym,
że każda rodzina buduje indywi-
dualnie swoje mieszkanie, a ogół
ptaków współpracuje przy ułoże-
niu dachu nad całością. (jm)



Są znaczki, którymi teraz
gardzą niektórzy filatelisci.
Mam na myśli tzw. obiegów-
ki. Otóż poczty całego świata
co pewien czas emitują serie
znaczków o najczęściej uży-
wanych w obrocie pocztowym
nominałach. Znaczki te emitu-
je się zazwyczaj w wielomili-
onowych nakładach. Można
je więc dość łatwo zdobyć do
kolekcji, zwłaszcza w stanie
używanych jako stemplowane.

W niektórych krajach o-
biegówki wydaje się
jako znaczki o niedu-
żych rozmiarach. Podyktowa-
ne to jest tym, że czasem na
list trzeba nakleić kilka takich
znaczków. A spróbujcie to u-
czynić w przypadku znaczków
dużych, nie wspominając już
o blokach. Znaczki o okolicz-
nościowe wydaje się bowiem
głównie z myślą o filatelistach.

A jednak serie niektórych
znaczków obiegowych mają
dużą wartość katalogową. Wy-
nika to m.in. stąd, że wśród
obiegówek znajdują się znacz-
ki o wysokich nominałach. E-
mituje się je przeważnie w

małych nakładach. I one de-
cydują później o ogólnej war-
tości całej serii.
Obiegówki nie są może tak
efektywne jak znaczki oko-
licnościowe, które kiedyś na-
zywano „obrazkowymi”. Czy
jednak zasługują na pogardę?
Absolutnie — nie! Wspomnia-
łem, że obiegówki drukuje się
w dużych nakładach. To po-
woduje, że jest w nich wiele
błędów i usterek, a więc i
możliwość opracowania z nich
zbiorów specjalizowanych i
badawczych. Łatwo także zna-
leźć do nich ciekawą doku-
mentację filatelistyczną.

perta, na której wspomniany
blok był kasowany datowni-
kiem okolicznościowym.

KOMETA HALLEYA

Poczta CSRS wydała oz-
dobny arkusik (blok), poświę-
cony spotkaniu z kometa Hal-
leya. Oczywiście, wzbogaci on
zbiory o tematyce kosmicznej,
jako że arkusik przedstawia
się nader efektownie.

WIRNIK ONZ

Administracja Pocztaowa za-
powiada w październiku br.
stosowanie specjalnego wirni-
ka propagandowego w siedzi-

Obiegówki

A więc obiegówki zasługu-
ją na większe zainteresowanie
filatelistów, zwłaszcza począ-
tkujących, którzy z reguły u-
ganiają się za różnymi „pie-
skami”, „kotkami”, „ptaszka-
mi”, „rakietami”, „samochodzi-
kami”.

POLONICA

Chciałbym poinformować
czytelników o nowych poloni-
cum filatelistycznym. Otóż
Poczta KRDL wydała 3 bloki
poświęcone zagranicznym pod-
różom Kim Ir Sena. Na jed-
nym z nich przedstawiono po-
witanie koreańskiego przy-
wódcy przez przewodniczące-
go Rady Państwa — prof.
Henryka Jabłońskiego. Ukaza-
ła się także ilustrowana ko-

bach w Nowym Jorku, Gene-
wie i Wiedniu. Będzie on miał
napis „Dekolonizacja, Wolność,
Niepodległość”.

TO JUŻ SPEKULACJA

Poczta Paragwaju postano-
wiła zbieraczom sprawić jesz-
cze jedną „niespodziankę”. O-
tóż emitowała ona 2 bloki po-
święcone Janowi Pawłowi II.
Ich nakład wynosi rzekomo
5000 sztuk. Wcześniej wydała
ona już 2 paski, 2 arkusiki i
1 blok o tematyce papieskiej.
Z pewnością nie z miłości do
głowy Kościoła Rzymokato-
lickiego, ale wyraźnie w celach
spekulacyjnych. Chociaż to
przekre, ale prawdziwie.

FILATELISTA

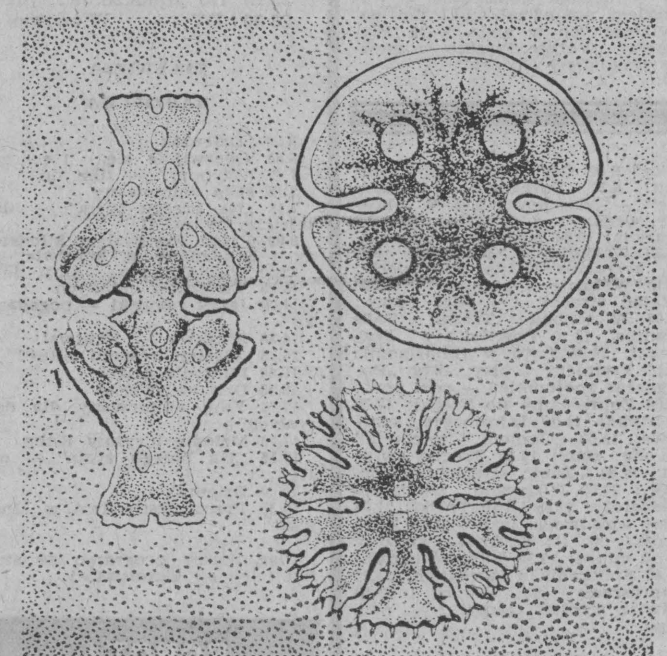
NA ZDJĘCIU: szwedzkie
znaczki obiegowe.

Ogień świątyni

Azerbejdżan od dawna słynął
jako kraj ognia, ponieważ bez-
pośrednio z Ziemi wydobywają
się tutaj płomienie — płonące po-
chodnie gazu. Jedno z takich naj-
bardziej znanych miejsc znajdu-
jących się nieopodal Baku nosiło
nazwę Ateżjach. W ślad za ka-
rawanami kupieckimi — z dale-
kich Indii docierały tutaj piel-
grzymki. W XVII wieku zbudowa-
no w tym miejscu świątynię. O-
prócz pielgrzymów i turystów
zawiedło ją wielu sławnych lu-
dzi, m.in. Dumas-ojciec, Mende-
lejew, Wereszczagin. W roku 1883
„świątyni” wygasł. Obecnie ty-
siące turystów odwiedzają odre-
staurowaną świątynię ognia
Ateżjach. (APN)

zmyki. W XVII wieku zbudowa-
no w tym miejscu świątynię. O-
prócz pielgrzymów i turystów
zawiedło ją wielu sławnych lu-
dzi, m.in. Dumas-ojciec, Mende-
lejew, Wereszczagin. W roku 1883
„świątyni” wygasł. Obecnie ty-
siące turystów odwiedzają odre-
staurowaną świątynię ognia
Ateżjach. (APN)

DZIWI ŚWIATA ROŚLIN



Kropla pod mikroskopem

Tak dziwne, wprost bajkowe formy roślinne możemy zo-
baczyć w kropli wody jeziornej, rzecznej, czy stawowej.
Są to glony z grupy zieleni z rodzajów: Euastrum, Cos-
marium i Micrasterias.
Zielonice, przeważnie jednokomórkowe, spełniają jednak
wszystkie funkcje znanych nam roślin. Wykorzystując ener-
gię słoneczną produkują związki organiczne: cukry, tłuszc-
ze i białko. Zawierają ogromną ilość witamin i mikro-
elementów. Mimo wielkiej wartości odżywczej nie używa-
ją się ich ze względu na właściwości smakowe. Japończycy
poradzili już sobie z tym problemem odpowiednio je aro-
matyzując. Glony jako produkt spożywczy używane są w
Japonii od dawna i mają tam wielką przyszłość. Występują
przecież w ogromnych ilościach, a ich zbiór i uprawa są
niezwykle łatwe.
Niektóre zielenice jako produkt przemiany materii wy-
twarzają antybiotyki. Właściwości lecznicze glonów wyko-
rzystywała od dawna medycyna ludowa rejonów nadmors-
kich.

Rys. J. LENGIEWICZ

W tym roku pogoda skąpi słonecznych kąpiel i z mor-
skimi jest różnie, bo woda też zimna; nie też dziwnego, że
w pływających koszach spotyka się pary bardzo sobą zajęte,
jak widać.

Fot. — CAF



MYŚLI PRZEKORNE

Wszyscy jesteście instytucją: każdy ma siebie na
etacie.
Kult ciała nader rzadko stanowi promocję estetyki.
Nikt nie da sobie popiołem posypywać głowy, którą
przeznaczył do pożyty.
Lepiej niech człowiek prawdę ci powie, niż by ci ją
miał powiedzieć komputer.
Niejedni płaskość swego umysłu rekompensują wy-
niosłością czoła.
Padanie na twarz przed samym sobą — rodzaj kul-
tu czy obsesji?

ZBIGNIEW WAYDYK

Woda morska do podlewania?

Radzieccy naukowcy opracowują sposoby uprawiania
winorośli na przybrzeżnych
piaskach. Przez wiele lat ist-
niała hipoteza, że dopuszczal-
na mineralizacja wody uży-
wanej do podlewania nie mo-
że przekraczać 1 g wody na
lit. Woda w Morzu Kaspijs-
kim ma koncentrację od 3
— 6 do 10—12 g/l. Jednakże
specjaliści z Dagestańskiego
Naukowo-Badawczego Instytu-
tu Rolnictwa są zdania, że
woda z tego morza można wy-
korzystać do podlewania.
Wychodząc z założenia, że
przybrzeżne piaski nie są
zdolne do akumulacji soli, ze
względu na swoją przepusz-
czalność i nadmierną ilość so-
li jest wprowadzana na więk-
sze głębokości — zdecydowa-
li się na używanie wody mor-
skiej do podlewania. Daje to
doskonałe efekty, zwłaszcza
przy uprawie winorośli. (APN)

KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 7) szczelina, 9)
ukochany Afrodyty albo inna
nazwa mleka, 11) ptak leśny,
w którym znajdziesz kota,
Szkota i pas, 12) guzdrała, 14)
święta księga mazałizmu z
ok. X—VI w. p.n.e., 16) Pra-
nie (miejsce częstego pobytu
Galczyńskiego), 20) flisak, 21)
dla NIEJ mile bliźni, 23) jed-
no z imion Sztudyniera, 24)
do wierzenia otworów, 26)
dziewczyna wstydlawa, nieoby-
ta towarzysko, 27) wół na o-
pak, 29) „czarowny” środek
płatniczy, 35) prawy dopływ
Pilicy lub lewy dopływ górnej
Wisły, 36) odmiana szarady,
37) przyrząd kreślarski albo
lekki pojazd gospodarski, 38)
kojarzą się z sekcją, 39) nie
wypada zagadka do cudzego.

PIONOWO: 1) pieniądz, 2)
szpiczulek i donosi, 3) Kasia za-
mieniona w lewy dopływ Kon-
sa, 4) nie wolno, 5) służy do
haczenia urządzeń konstruk-
cyjnych, 6) czule miejsce A-
chillesa, 8) członek rady na-
rodowej, 10) władza wojsko-
wa, 13) był już karany, 15)

instrument muzyczny używa-
ny w orkiestrach wojskowych
(wydawałoby się, że powinien
latać...), 17) tkanina bawełnia-
na na ubrania robocze, 18) stop
miedzi z cynkiem, 19) murar-
ska albo sportowa, 22) Colum-
bo z seriału, 25) z szyba, 28)
Wanda dla Kraksa, 29) zawód
Jana Kilńskiego, 30) zastużo-
na przerwa w pracy, 31) jele-
niowa, 32) las syberyjski lub
kanadyjski, 33) ufnosć, 34) na
przesyłce pocztowej.

HELLES

Wśród czytelników, którzy
w terminie 6-dniowym nade-
ślą bezbłędne rozwiązania,
rozlosujemy pięć nagród książ-
kowych. Na kopertach prosimy
umieścić dopisek: „Kry-
żówka z numeru 172”.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NUMERU 167

POZIOMO: psotnik, nepot,
danie, brozokwinia, kuzyn, O-
wens, Seton, stado, cyganek,
dziwak, Kalwin, Wacław, a-

spekt, Leonard, tepak, aloza,
leżak, osika, napastrznica, Ko-
ran, Kaaba, strażak. **PIONO-
WO:** rebus, pozytyw, stonoga,
takt, idiotka, kanwa, siano,
przeciwciężar, niedźwiedźka,
nakutek, Sekwana, wdowa,
cnota, alakant, salonka, pro-
siak, tenor, Papis, Akaba, u-
sta.

NAGRODY

Za prawidłowe rozwiązanie
krzyżówki zamieszczonej w
„GW” nr 161 z 12 lipca br.
nagrody książkowe wylosowa-
li: Krynke, Lidia Laskowska z
Łomży, Alicja Boniewicz z
Bielska Podlaskiego oraz Ma-
gorzata Kaczorek i Barbara
Kucnierowska — obie z Bła-
legostoku.

Zamiejszczyliśmy nagrody
przesłane pocztą. Mieszkańci
Białegostoku proszone są o
złożenie się po odbiór książ-
zek do Działu Łączności z Czy-
telnikami redakcji (ul. Weso-
łowskiego 1, pokój 2, parter)
w godz. 9—15 w terminie dwu-
tygodniowym.



Stolica Nepalu Katmandu położona na wysokości 1300
stanowi główny ośrodek handlowy i polityczny kraju. Od-
wiedzana przez turystów oglądających stare zabytki ku-
lury nepalskiej.
NA ZDJĘCIU: świątynia budząjska w stolicy Nepalu
CAF — TAN

Muzeum Meteorologii

Do licznych muzeów Lwo-
wa przybyło jeszcze jedno —
Meteorologii i Techniki Po-
miarowej. Powstało ono w
Lwowskim Centrum Standa-
ryzacji Meteorologii. Wiele
ekspozatów uzyskano przy
pomocy pracowników pań-
stwowego Archiwum Histo-
rycznego Ukrainy. Jest tu np.
dekret, wydany przez guber-
natorstwo Galicji 5 grudnia

1785 roku, który głosi o uru-
czeniu na terytorium obce-
ziemi Lwowskiej Krajowej
Inspektoratu Miar i Wa-
g. W ten sposób bieżący rok bo-
dla meteorologów Lwowa
okazuje dwusetną rocznicę
tworzenia pierwszej sto-
licy meteorologicznej na ukrai-
ńskich ziemiach. (BK—AP)

„Kombajn” drogowy

Na drogach samochodowych
środkowego Połdnia odbywają się
próby pierwszej w ZSRR maszy-
ny do diagnostyki mostów. Przy
jej pomocy mistrz drogowy w
ciągu kilku godzin wykonuje pra-
cocienny proces, na który daw-
niej musiał czekać dzień. Maszyna
zamontowana jest na platformie
ciągłacki Kamaz i w wyglądzie

rośniętą się maszyną od zwykłych
przebiegów. Pojemnik przesłania
w niej urządzenia, wykonujące
swoją pracę. Maszyna ma
dwa „ogony” (światła tylne)
elektryczne. Główna maszyno-
wa da się z trzech osób — kierow-
cy, operatora i drogowca. (AP)

Tajfuny bez tajemnic

W laboratorium Dalekowscho-
dniego Instytutu Hydrologiczno-
-Meteorologicznego powołano ory-
ginalne urządzenie do badania
huraganów oceanicznych. Jest to
przeźroczyste naczynie, wyposażo-
ne w różne urządzenia do mode-
lowania warunków powstawania

tajfunów. Jest tutaj również
ser, którego prędkość przemiesz-
czania, które woda tropików wy-
wołuje, pierwsze zawirowanie
główny. Ciekawym jest fakt, że
grafika tajfunów, wykonana
kosmosu bardzo przypomina
cia „laboratoryjnych burz”.

